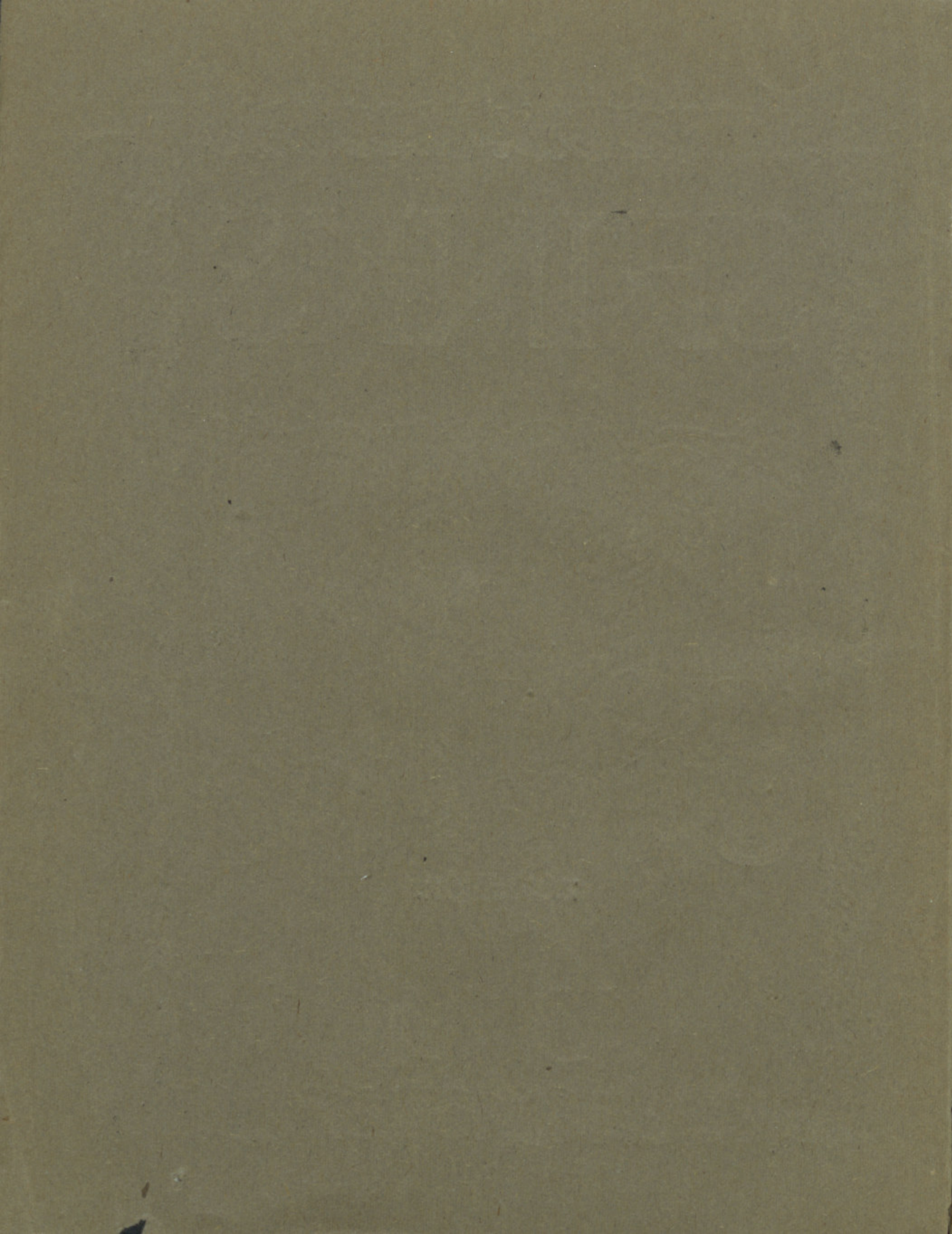


SFINKS



1915



Tytus Kowalski

Warszawa, Senatorska 10, tel. 9-83.

POLECA

Entuzjazm i Męstwo

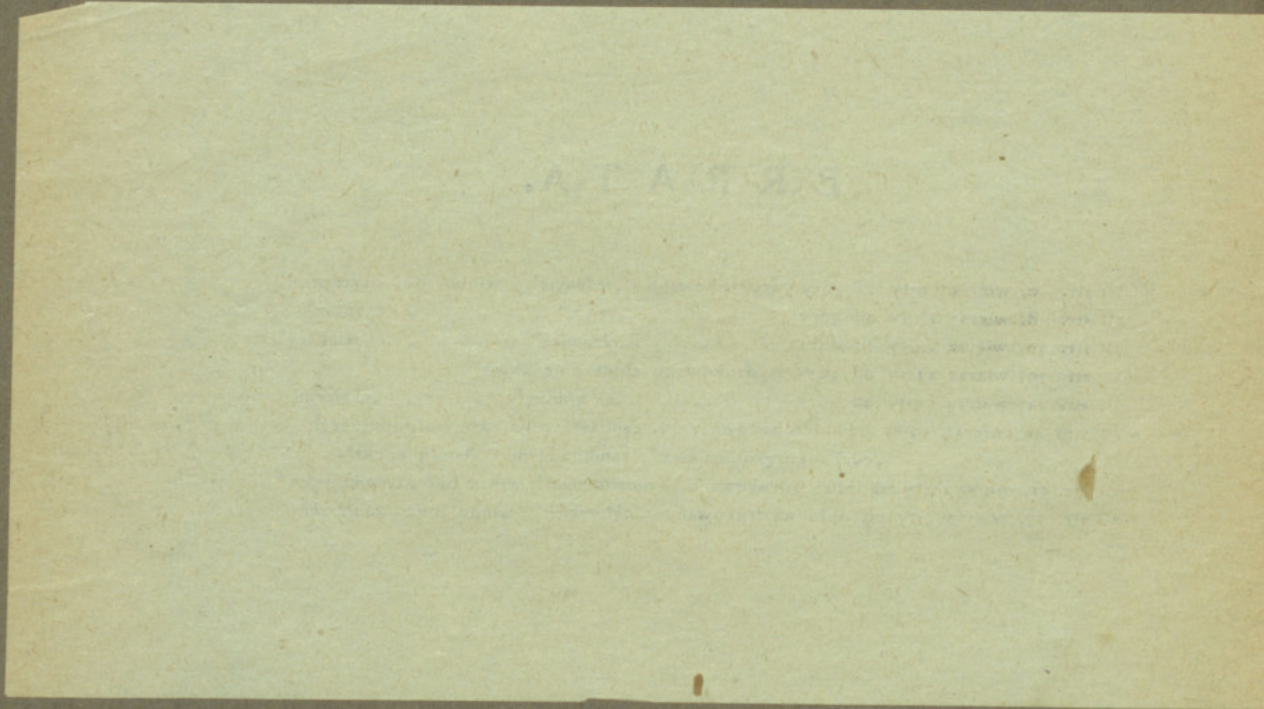
ERRATA.

- str. 6, wiersz 9-ty od góry wydrukowano „jedynym” winno być „jedynem”
str. 8, wiersz 17-ty od góry „stwym” „stwem”
str. 30, wiersz 14-ty od dołu „człowiek” „człowiek”
str. 39, wiersz 11-ty od góry wydrukowano zbytecznie „nych”
str. 41, wiersz 5-ty od góry „w którem” „w którym”
str. 41, wiersz 19-ty powtórzono dwa razy, zamiast 20-go wiersza opuszczonego:
„cucha „organiczników”, zamknięciem i kłamrą epoki”
str. 51, wiersz 11-ty od dołu wydrukowano „dynamitowym”, winno być „dynamitowem”
str. 77, wiersz 5-ty od dołu wydrukowano „aktorskich” winno być „autorskich”

Stenol

KREM, ELIKSIR, PROSZEK DO ZĘBÓW

Jedynie racjonalne środki do pielęgnowania zębów i jamy
ustnej według przepisów D-ra med. NAPOLEONA CY-
BULSKIEGO prof. Uniw. Jagiell.



Tytus Kowalski

Warszawa, Senatorska 10, tel. 9-83.

POLECA

Futra Damskie i Męskie.

Stenol

KREM, ELIKSIR, PROSZEK DO ZĘBÓW

Jedynie racjonalne środki do pielęgnowania zębów i jamy ustnej według przepisów D-ra med. NAPOLEONA CYBULSKIEGO prof. Uniw. Jagiell.

PRENUMERATA «SFINKSA» wynosi: rb. 9 rocznie, rb. 4 kop. 50 półrocznie i rb. 2 kop. 25 kwartalnie w Warszawie, a rb. 10 rocznie, rb. 5 półrocznie i rb. 2 kop. 50 kwartalnie z przesyłką pocztową.

CENA OGŁOSZEŃ W «SFINKSIE»: Na stronicach poprzedzających tekst literacki za 1 stronę 60 rb., za $\frac{1}{2}$ str. 30 rb., za $\frac{1}{4}$ str. 15 rb. Na stronicach po tekście literackim za 1 stronę 50 rb., za $\frac{1}{2}$ str. 25 rb., za $\frac{1}{4}$ str. 15 rb.

Biuro Redakcji «SFINKSA» mieści się przy ulicy Marszałkowskiej Nr. 15, telefon 79-37.

Redaktor przyjmuje interesantów we wszelkich sprawach redakcyjno - literackich w poniedziałki, środy i piątki od godz. 4-ej do 6-ej pp. w kamienicy Baryczków (Stare Miasto 32) tel. 99-88.

Adres Administracji i ekspedycji «SFINKSA»: Zgoda 1, Telefon 73-22. Prenumeratę i przesyłki pieniężne adresować należy na Zgoda 1.

Cena zeszytu 1 rb.

SFINKS

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRA-
WOM SPOŁECZNYM, LITERATURZE
I SZTUCE

VI — 1915

Rok VIII — ogólnego zbioru Nr. 82.

SPINKS

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRA-

WOM SPOŁECZNYM, LITERATURZE

I SZTUCE



999

Za pozwoleniem cenzury wojennej niemieckiej.
Tłocznia L. Bogusławskiego, Warszawa, Świętokrzyska 11.

K366149

SZKOLNICTWO.



skę nieustanną o krzewienie oświaty wśród najszerszych mas. Dzieje upadku Rzeczypospolitej i porozbiorowe następczą nam materyału dowodowego w ilości dostatecznej, aby stwierdzić, jak dalece dążenie do upowszechnienia oświaty narodowej ściśle się wiąże z programem odrodzenia Polski. Niezapomniane słowa Rektora Szkoły Głównej, Józefa Mianowskiego, — „oświatą nie tylko jaśnieją i zasługują się narody, ale nią się też z upadku dźwigają” — były katechizmem mężów w narodzie najlepszych. Nakaz mickiewiczowski o „polepszeniu i powiększeniu

z dnia 23 sierpnia 1915 r., w którym zapadła uchwała Komitetu Obywatelskiego m. Warszawy o nauczaniu powszechnem, stał się dniem historycznym i zyskał odrębną kartę w dziejach narodu. Rzeczą jest nad wyraz znamionną, iż chwile największych przygnień i upadku, zarówno jak i momenty spodziewanych wyzwoliń, rodzą w narodzie naszym troskę

dusz naszych" żywo stał zawsze w pamięci tych, którzy w czasach najsroźszej burzy nawą ojczystą wytrwale sterowali.

Takie tedy znaczenie oświaty, która nietylko jest w Polsce czynem społecznym, ale i potężną dźwignią odrodzenia Ojczyzny, nadały jej lata całe ucisku i przemocy. Naród polski, skazany na zagładę, trafnie i szybko ocenił wagę oręża, jakim dlań być mogła oświata. Związał był tedy z nią nadzieje najpromienniejsze i wysiłek nadludzki. Stała się oświata w Polsce jedynym nieomal polem działania, z niej bowiem wiodła droga do wolności. Najlepsi i najdzielniejsi ochotnie swe życie tej właśnie idei poświęcali, szare, bezimienne postacie bohaterskie, które w tej walce o dusze polskie najsroźsze znosiły prześladowania. Pamiętali ci pracownicy Jutra, „iż kto chce naród jaki zagładzić, niech w nim zgasi oświecenia pochodnię" (Staszic). Podawano więc sobie z rąk do rąk, pokolenie pokoleniu tę żągiew płonąca, aby w chwilach najcięższych mroków w Ojczyźnie nie ustawało palenisko pracy.

Naród, który przez wieki całe współżył i współpracował z Zachodem, który swą własną kulturę wykształcił i wyszkolił na źródłach i wzorach najświetniejszych, od chwili zwłaszcza upadku swej państwowości we własnych czynach i we własnych dziejach odnajdywał podniecie i zachętę i wytrwałość. Wielkie i czcigodne imiona zasłużonych Ojczyźnie, praca ich żywotów niestrudzonych drogowskazem mu była i nauką. — I niezmożnym był duch narodu w tej walce nierównej, bo wiązał on wysiłek krwawy Jutra z czcigodnym siewem dnia wczorajszego. Nic to, że pracę tę za najcięższą nam poczytano zbrodnię, nic to, że ją stygmatem kar najsroźszych przez stulecie niewoli naszej piętnowano, strześliśmy jej zazdrośnie, jako najpewniejszej poręki pomyślniejszej doli naszej i jako drogi, wiodącej nas w przyszłość ku odrodzeniu.

Niemasz chyba w Europie narodu, któryby, jak nasz, przeszedł przez tyle udręk i tyle męczarni. Nie dla łatwej dziś krytyki systemu wychowania szkół rosyjskich w Polsce wyznać należy, że miana „szkół" niegodne one były nosić, ale dla piętnowania takiego systemu zasad polityki rusyfikacyjnej, który za słuszne i za godziwe uznawał walkę nieubłaganą z duszą

dziecka polskiego. Komisya Edukacyjna, jako prawo postępowania uznała, iż „nie masz innego sposobu wyprowadzenia ludu z ciemności i błędu, z pochodzących najwięcej z tego źródła wad i występków, jako nowe pokolenia zaraz w początkach ich życia oświecać, drogę im cnoty ukazywać, a czynną edukacją serca do zamiłowania powinności ukształcać i do wykonywania obowiązków samym skutkiem i zwyczajem wprawiać”.

„Zaraz w początkach ich życia...” Jak strasznie, jak występnie torturowano to właśnie zaranie dzieciństwa polskiego, jak je przemocą właczano w formę obcą, duchowi nienawykłą, jakich podstępów uczono i kłamstw i jakże często zmuszano je bezczęścić uczucia i czyny, które dla-ni wzorem być winny w kształceniu wrażliwej moralności. Dziś, gdy już przeminęły, z uśmiechem politowania wspominamy te czasy okrutne, w których do walki z posiewem stuleci wstał dziki barbarzyńca, podobny djabłu z bajki Goreckiego, co usiłował skryć przed człowiekiem garść zboża rozsypaną.

*„zrobił rogiem rów w ziemi i nasypał żytem,
naplwał i ziemią nakrył i przybił kopytem...
...aż tu wiosną, na wielkie djabła zadziwienie,
wyrasta trawa, kwiecie, kłosa i nasienie”.*

Dzisiejsze usiłowania społeczeństwa w kierunku rozwoju szkolnictwa rodzimego z natury rzeczy oprzeć się muszą o te właśnie wypróbowane tradycje przeszłości. Nie zawiodły nas one, stanowiąc opokę niewzruszoną, na której naród swą przyszłość budował w mrokach. Zasady, jakie zdobyliśmy w okresie szkolnictwa rosyjskiego, winny być dla nas czynnym drogowskazem i na chwilę obecną. Z należytem zrozumieniem wagi tych właśnie tradycji, Komitet Obywatelski m. Warszawy powziął w sprawie oświaty pełną godności uchwałę z dn. 29 października, jasno i wyraźnie regulującą jego stanowisko odnośnie do szkolnictwa polskiego w kraju. Słowa memoriału mają w sobie moc, która płynie z poczucia wiary w słuszność swego stanowiska i są zarazem głosem, którym wołała przeszłość nasza ilekroć razy o sprawę oświaty chodziło:

„Niech władze okupujące zostawią narodowi polskiemu odpowiedzialność za wychowanie jego dzieci i młodzieży, za usuwanie braków światła wśród dorosłych. Tego nikt za nas lepiej nie zrobi. Tolerancyi wyznaniowej nikt nas uczyć nie potrzebuje, mamy ją w naszej tradycyi. Mamy pełną świadomość, że nie przestaliśmy ani na chwilę być u siebie, w naszej Ojczyźnie”.

Żaden naród, potępiający metody nauczania rosyjskie, nie znajdzie argumentów, któreby zdolne były służyć powyżej wyłożonego stanowiska społeczeństwa do swoich własnych szkół poddać w najmniejszą choćby wątpliwość. Ta bowiem wolność dróg, jakimi kroczą narodowości poszczególne, jest najświetniejszą zdobyczą kultury europejskiej, tak przecież różnej od metod postępowania Rosyi, która wszak chyba winna być w praktykach swych najzupełniej odosobniona.

Dojrzałości społeczeństwa polskiego do prawa stanowienia o swym szkolnictwie nikomu do głowy nie przyjdzie zaprzeczać. Zbyt liczne złożyło ono na to i znakomite dowody. Prace i działalność Komisji Edukacyjnej, pierwszego wszak w Europie ministerium oświaty publicznej, programy nauczania w Liceum Krzemienieckiem, działalność oświatowa Staszica i Kołłątaja, reformy szkolne Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, ustawa szkolna z r. 1862, dziesięciolecie szkół polskich prywatnych (1905—1915) i programy ich nauczania, działalność oświatowa Macierzy Polskiej i licznych towarzystw oświatowych, a nadewszystko czujność obywatelska społeczeństwa, wystarczają chyba dla uzasadnienia tezy powyższej. Naród przeto, jak nasz, który przed najcięższą i najboleśniejszą nie cofnął się ofiarą, aby dla szkoły swej był od czynników obcych niezależny, który się zdobył na ciężki wysiłek dziesięcioletniego bezrobocia wszystkich szkół w kraju, aby je tylko od wpływów szkodliwych osłonić, który się zdecydował pogasić dobrowolnie ogniska oświatowe i wzgardzić niemi, bo je za szkodliwe dla życia swojego uznał, w chwili obecnej, gdy daną mu jest możność wznoszenia świątyń oświatowych, tylko dobrem własnym kierować się powinien. Wiedząc o tem, iż każda szkoła i każda książka polska to wzmożenie sił duchowych, których tak dotkliwy

odczuwamy brak, prowadzić będzie i nadal swą pracę oświatową, poczętą nie od wczoraj i nigdy nie zagasłą. Wzrost bowiem oświaty powszechnej, to wzrost dobrobytu. Tę prawdę i u nas od wieków już rozumiano. Myśmy ją zawsze wyznawali i stosowali w życiu wtedy nawet, kiedy się za to szło na wygnanie. I nie nasza to wina, że praca ta ani tak była rozległą, ani też tyle skuteczną, aby naród cały w powszechnem objąć nauczaniu. I nie my temu pohańbieniu winni, że w narodzie, skwapliwie do kultury zachodnio-europejskiej przyłączanym, w tej właśnie dzisiejszej chwili zapewnień i zakłęb znajduje się 50⁰/₀ analfabetów. — Nadszedł, mniemać wypada, czas, kiedy odpowiedzialność całkowitą będziemy w możności wziąć na siebie niepodzielnie i z nikim się ani zasługą, ani też wstydem nie dzielić. Cokolwiek tedy w tej naszej sferze działania uczynimy, nie powstydzimy się, będzie to bowiem praca rozumna i światła, cele ostateczne na widoku nieustannie mająca i z dobrem narodu, w rozumieniu naszym, zgodna najzupełniej. A że taki właśnie kierunek ta praca nasza przyjmie, niechaj świadectwem będzie uroczysty dzień 15-go listopada, który był przedewszystkiem tryumfem mocy trwania narodu przez stulecie. Uroczysty nastroj i niezwykle podniosły, jaki wśród tłumów zebranych pannaował w Katedrze i w Auli, ta mocno sprzęgnięta nić, jaka nas wszystkich w jedno w dniu owym historycznym związała, mocny i świeży głos odradzającego się narodu, dobyty z piersi, przepełnionej łkaniem radosnem, hołd złożony przeszłości i przyszłości, składane promiennemu Jutru — była to chwila, którą się przez całe życie zapamięta. W dniu tym naród głośno i dostojnie zaświadczył o swem prawie do życia nie głosem wypuszczonego na wolność niewolnika, lecz słowem tysiącletniej kultury i ofiar, jakie dla niej w męce poddańczej nieustannie ponosił.

Dr. Władysław Kłyszewski.

STOSUNEK WŁOŚCIAN POLSKICH DO WOJEN TOCZONYCH W OSTATNICH WIEKACH ISTNIENIA RZECZYPOSPOLITEJ.



d początku wojny z nateżeniem śledzimy stosunek do niej włościństwa naszego zarówno w Galicyi, jak w Królestwie. Niestety, dotąd o ludzie naszym i wojnie mamy wiadomości ułamkowe, niedokładne, tak, iż nie może być jeszcze mowy o poważnych uogólnieniach. Zanim więc stanie się możliwem zdobycie materiału tak ważnego dla zrozumienia

duszy i uczuć ludu naszego, dobrze jest, sądzimy, rzucić okiem w przeszłość, uświadomić sobie, jaki był stosunek włościń polskich do wojen, prowadzonych przez Rzeczpospolitą w ostatnich wiekach, poprzedzających jej upadek.

Utarło się przekonanie, iż lud polski wobec dziejowych wypadków, jakie rozgrywały się w ciągu stuleci na ziemi naszej, zachowywał się biernie. I takie twierdzenie nie jest pozbawione pewnych podstaw, dojsć zaś można do niego drogą zarówno indukcyjną, jak nawet i dedukcyjną. Czynne zainteresowanie się

wypadkami dziejowemi wpływać może tylko z rozbudzenia uczucia patryotycznego, a zaś patryotyzm nie jest bynajmniej uczuciem wrodzonym wszystkim ludziom, czy wszystkim klasom. Rozwój uczuć patryotycznych wymaga pewnej kultury społecznej, bez której nie może człowiek zrozumieć konieczności podporządkowywania interesów swych osobistych, czy rodzinnych, interesom ojczyznym.

Niezbitym faktem jest także i to, że do czynnej obrony kraju usposobione są tylko te warstwy, które cieszą się prawami obywatelskimi i względnym dobrobytem: obawa właśnie przed utratą jednego i drugiego, wskutek możliwych przewrotów politycznych, bywa silną pobudką do wyjścia z bierności. W ten sposób niski stan kultury, nędza, brak praw obywatelskich, które według ogólnego mniemania charakteryzują położenie chłopów polskiego w ostatnich wiekach istnienia wolnej Rzeczypospolitej, znajdują się w zupełnej zgodzie z utartymi pojęciami o obojętności włościan wobec wojen, toczonych przez Polskę. Analityczne jednak badania, prowadzone w czasach ostatnich nad dziejami wewnętrznymi Polski, pozwalają stwierdzić, że położenie prawne, kulturalne i materialne włościan polskich było bynajmniej nie jednolite, tworząc nawet w najsmutniejszych czasach skalę całą, zaczynającą się od zupełnej nędzy i poniżenia, kończącą się na względnej zamożności i posiadaniu pewnych praw obywatelskich. Badania nad dziejami Polski pozwalają podobnie stwierdzić, że nie wszędzie i nie zawsze chłopcy zachowywali się biernie wobec wypadków dziejowych, przedewszystkiem wojen.

Warstwą chłopów polskich, którym działo się w Polsce lepiej, byli włościanie dóbr duchownych, miejskich, wreszcie poddani starostw, zwłaszcza pogranicznych. Stosunek ich do ziemi ujęty był w formy prawne, mieli oni zapewnione prawo apelacji na wyroki sądowe władz miejscowych, tu i owdzie rozciągnięto na nich zaczerpnięty z prawa szlacheckiego zakaz wymierzania kary przed wyrokiem sądowym, posiadali zwyczajnie niezłe uposażenie ziemią, a co za tem idzie cieszyli się względną zamożnością. Trzeba zaś pamiętać, że chłopcy duchowni i królewscy stanowili bardzo znaczny odsetek ludności włoś-

ciańskiej, ilość ich bowiem w epoce rozbiorowej dochodziła do 2 milionów, stanowiąc bez mała trzecią część ogółu ludności włościańskiej¹⁾. Jako przywilej ludzi wolnych, odróżniających się od warstw, pozbawionych praw obywatelskich, uchodziło po wsze czasy prawo posiadania broni. Otóż i pod tym względem poddani niektórych starostw, a nawet czasem i wsi miejskich, znajdowali się w nienajgorszym położeniu. Wiemy naprzykład, że poddani panów rajców miasta Kalisza nie tylko broń posiadali, ale nawet obowiązani byli biedz z bronią w ręku na każde zawołanie, by nie dopuszczać do szkody w majątku swego kolektywnego dziedzica, jak to dobitnie zaznacza ustawa miejska z roku 1583 wydana dla wsi kaliskich²⁾. Poddani pogranicznych starostw leśnych zarówno karpackich, jak mazowieckich, posiadają broń palną mniej lub więcej oficjalnie. Chłopi też podkarpaccy jeszcze w końcu wieku XVI-go biorą czynny udział w wojnach, jakie toczą podgórcy magnaci bądź to z Rzeczpospolitą, bądź też między sobą. Kmiecy poddani starostwa Lancokorońskiego uzbrojeni w szable i pułhaki, stanowili stałą siłę zbrojną, używaną do obrony zamku Lancokorońskiego. Corocznie w pełnym rynsztunku musieli się oni stawiać na tak zwany monstr, nadto część ich (myśliwi) w uzbrojeniu asystowała podczas procesyi kościelnych³⁾. Jeżeli ogólna powinność wojskowa nie była nawet w dobrach królewskich zjawiskiem często spotykanem, to natomiast od r. 1578 we wszystkich starostwach istniała instytucja wybrańców. Uczestniczyli oni w stałej piechocie łanowej: na każdych 20-tu kmieci włókowych 19-tu, według konstytucyi o wybrańcach, miało siedzieć na gruncie, odrabiać pańszczyznę i wszelkie ciężary także i za 20-go, ten zaś przyodziały w żupan błękitny i delię, wymustrowany odpowiednio, szedł na żołnierkę. W końcu XVI-go wieku ilość wybrańców dochodziła do dwóch tysięcy bez mała. Już w wojnach prowa-

¹⁾ Korzon. „Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta”. Str. 317.

²⁾ Archiwum miasta Kalisza w Archiwum Głównem w Warszawie. „Libri villanorum”.

³⁾ Archiwum Głównie w Warszawie. Rok 1—8. Str. 195.

dzonych przez Stefana Batorego sprawili się oni dzielnie, zdobywając sobie od króla liczne pochwały i nagrody. W wieku XVII-tym, gdy zaniedbano mustrować wybrańców należycie, zaczęto ich używać do służby garnizonowej, stawiając załogą w Krakowie lub w Kamieńcu ¹⁾).

Wybrańcy stanowili nieliczny oczywiście odsetek wśród chłopów, ale w razie wojen, rozgrywających się wewnątrz Rzeczypospolitej, stawali w szeregach nietylko oni, ale wprost popolite ruszenie tych wszystkich kmieci starościńskich, którzy byli uzbrojeni, siedząc w puszczach granicznych. Byli oni ze wszystkich włościan obdarzeni największym przywiązaniem do swobody. Podczas też, gdy absolutna większość chłopów polskich apatycznie znosiła swój los, poddając się bez oporu prawie wzrastającym wymaganiom i ograniczeniom dziedziców, wśród wolnych chłopów kresowych wybuchały od czasu do czasu powstania przeciwko starostom, dążącym do wyzyskiwania ich gospodarczego. Tak więc na Podhalu Tatrzańskim górale na początku wieku XVII-go rozpoczynają kompletną wojnę domową z starostą nowotarskim, Mikołajem Komorowskim ²⁾, który myślał, że uda mu się wprowadzić pańszczyznę w takim rozmiarze, jak to było w zwyczaju na dolinach. W tym samym mniej więcej czasie wybucha bunt górali, kierowanych przez swych sołtysów w sąsiadującym z Nowotarszczyzną starostwie Czorsztyńskim; do poważnych nieporozumień doszło i w starostwie Lanckorońskim, gdy chłopów uciskać zaczęła pani starościna ze Stadnickich Zebrzydowska. Rozpoczęcie wojny domowej na całym Podgórzu ułatwiła chłopom królewskim ich stała organizacja. Wśród nich znajdowali się zawsze dowódcy, zwani ironicznie przez starostów pryncypałami buntu, którzy kierowali w imieniu gromad akcją przed sądami referendarskimi, a gdy ta zawiodła, prowadzili brać góralską do boju ze starostami. W starostwie Nowotarskim rolę takich „pryncypałów“ odgrywali zwykle przedstawiciele licznie rozródzonych

¹⁾ Korzon: „Dzieje wojen i wojskowości“. II. Str. 64.

²⁾ Długopolski Ed. Dr. „Rządy Mikołaja Komorowskiego na Podhalu“.

tam rodów sołtysich. Podobne stanowisko zajmował tam za czasów Władysława IV niejaki Stanisław z Łętowni, sołtys z Czarnego Dunajca, chłop bogaty, herszt wszystkich buntów w górach i dlatego marszałkiem zwany; on to marszałkował podhalanom podczas wojny ze starostą Mikołajem Komorowskim, on odegrał rolę nie małą i podczas buntu Kostki Napierskiego¹⁾. W Lancokorońszczyźnie przy końcu wieku XVII-go rola podobna przypadła karczmarzowi Jakóbowi Śmietance, który „gdy kędy jedzie, przypasuje się do szabli i pistolety z sobą wozi, a góralów 12 i więcej przy sobie prowadzi, którzy mu w drodze asystują i usługują”.²⁾

Bunt Kostki Napierskiego, w którym uczestniczyli górale z całego niemal podgórze Krakowskiego, a który znajdował się, jak wiadomo, w tak ścisłym związku z buntem Chmielnickiego, jest zjawiskiem niesłychanie wymownem. Rzesze całe agentów Chmielnickiego, przebranych za dziadów, za uciekinierów z niewoli pogańskiej przebiegały ziemie Rzeczypospolitej, nawołując chłopów do buntu, obiecując im ziemie pańskie, wzamian za zabicie dziedziców. Pełno było agentów takich nietylko na Rusi Czerwonej, ale docierali oni nawet do Poznania³⁾ i do województwa Kaliskiego⁴⁾. I oto cała akcja Chmielnickiego nie osiąga powodzenia na dolinach, gdzie była większość chłopów ziemiańskich, gdzie był naprawdę silny ucisk ekonomiczny, natomiast wydaje tak bujne owoce na Podgórzu, gdzie przeważały dobra królewskie, w których chłopci cieszyli się, jak wiemy, największą swobodą i względną zamożnością. Ale ci sami górale, którzy w roku 1651 dali się sprowokować Kostce Napierskiemu i agentom Chmielnickiego, nie wahali się przelewać swej krwi za dobro ojczyzny właśnie wówczas, gdy „lachy i mazury” biernie patrzyły na nieszczęścia kraju. Jeszcze w przededniu buntu Kostki Napierskiego pułkownicy królewscy, Ubald i Korf, na-

¹⁾ Kubala: „Szkice historyczne”. Serya pierwsza. Kraków, 1896, Str. 320.

²⁾ Arch. Główne: Księgi Referen. 21, str. 99.

³⁾ Kubala: „Szkice historyczne”. Serya I. Str. 332.

⁴⁾ Koberzycki Józef: „Przyczynki do dziejów ziemi Sieradzkiej”. Str. 45 — 48.

werbowali wielu śmiałych i zdrowych górali zarówno w Dobrzycach, jak i w Nowym Targu ¹⁾. Ale daleko ważniejsze usługi oddali górale w roku 1655. Na skutek starań braci Wąsowiczów, umięjących przemówić do górali, postanowili podgórzanie chwycić za oręż w obronie króla Jana Kazimierza. I oto 2 do 3-ch tysięcy górali stanęło do boju i okryło się wiekopomną sławą, zadając Szwedom dotkliwą klęskę w Nowym Sączu. Na Szwedach to powstanie góralskie na rzecz Jana Kazimierza zrobiło wielkie wrażenie. Zaczęli się obawiać, by przykład podgórzan nie podziałał i na włościan dolin, wydali też demagogiczną odezwę do chłopów, ostrzegającą przed pomaganiem ciemniejszom szlachcie i obiecującą złote góry w razie utrzymania się panowania szwedzkiego w Polsce ²⁾.

Zupełnie podobnie, jak górale, zachowywali się i kurpie. Ludność ta leśna, do połowy wieku siedemnastego obywająca się prawie zupełnie bez opieki duchownej kleru katolickiego, zajmowała się nie tylko pszczelnictwem, lecz i myśliwstwem, polując w puszczech polskich, a nierzadko przedostając się i do leśnictw pruskich. Znakomici strzelcy, posiadający zdawna organizację w postaci cechów bartnych, kurpie kochali się w swej swobodzie. Okazując stale wierność królowi, który zatwierdzał ich przywileje, walczą oni niestrudzenie i konsekwentnie ze starostami, pragnącymi ich podciągnąć pod ogólną miarę chłopów pańszczyźnianych, opierać się umieją nawet i uroszczeniom jezuitów, którzy około roku 1650 zakładają misję na Kurpiach w Myszynie. Księgi referendarskie pełne są aktów, będących pamiątką procesów, wytoczonych przez starostów kurpiom, „którzy ich sromotnie i tumultarnie nachodzili, wiolencye i kryminały na kiermaszach czynili“ i t. d. ³⁾ Ze swej strony i puszczenie nie omieszkiwali pociągać do odpowiedzialności starostów, którzy wszelkimi godziwymi i niegodziwymi środkami usiłowali przełamać ich opór. W ciągu drugiej połowy wieku siedemnastego i w wieku osiemnastym trwa więc ciągła walka między sta-

1) Kubala: „Szkice”. Serya I. Str. 323.

2) Rękopis Biblioteki Publicznej w Petersburgu Ros. T. IV. 136.

3) Arch. Główne. Księgi Referen. 22 kor. 80.

rostandami i kurpiami; i z walki tej ostatecznie kurpie, przynajmniej poddani starostwa Ostrołęckiego, wychodzą zwycięsko. Lustracja 1789 r., pełna skarg włościan na swych starostów, zaznacza, że „żadne w starostwie Ostrołęckim od gromad nie zachodzą przeciw JWNemu Staroście oskarżenia, pod którego rządem każdy mieszkaniec pewien jest swojej własności i tego, co ma opłacać do skarbu. Mają tu wszyscy mieszkańcy swoje prawa, kupują za transakcyami grunta i te, gdy wola, odprzedają, zgoła wolność mają wnieść do starostwa, osiąść i ustąpić”.¹⁾

Przywiązanie kurpiów do swobody nie przeszkadzało im zachowywać się najzupełniej lojalnie wobec Rzeczypospolitej, a nawet niejednokrotnie krew swą za nią przelewać. Znane jest powszechnie bohaterstwo, z jakim walczyli kurpie w roku 1708 przeciw Szwedom²⁾, zadając im znaczną porażkę pod Kopańskim. W roku 1733 biją się mężnie puszczeni pod dowództwem Stacha Konwy za sprawę Stanisława Leszczyńskiego, a wreszcie walczą i podczas powstania Kościuszki, zyskując sobie uznanie Naczelnika. Za czasów Księstwa Warszawskiego zdobyli sobie kurpie nowe wawrzyny, wśród nich bowiem pułkownik Ignacy Zieliński zorganizował wslawiony szósty pułk strzelców pieszych.

Jeżeli teraz przeniesiemy się na północo-wschodnie kresy Rzeczypospolitej, to i tu spotykamy fakty, potwierdzające podkreślony już przez nas wpływ położenia społecznego włościan na ich stosunek do wypadków, rozgrywających się w kraju. W ogromnych dobrach stołowych, jakie dzierżyli królowie polscy na Litwie, zniesiono pańszczyznę w końcu wieku XVII-go, zamieniając ją na czynsz. Najpierw tak doniosła reforma wprowadzona została w ekonomii Szawelskiej. Pańszczyzny nie istniały tu już w roku 1640, poddani zaś obowiązani zostali jedynie do płacenia czynszów i do tworzenia straży. Chłopi, dzięki długoletniej wolności od pańszczyzn, doszli tu do rzadkiej zamożności. Dopiero za rządów Stanisława Augusta w ekonomiach litewskich

¹⁾ Materiały do dziejów wsi polskiej. Str. 50.

²⁾ O walkach Kurpiów mówi dość obszernie Chętnik w „Puszczy Kurpiowskiej”.

zaczęto wprowadzać na nowo pańszczyznę. Włościanie, którzy się już tak zżyli ze swą niezależnością gospodarczą, stawali się teraz zwykłymi poddanymi pańszczyźnianymi. Od tej pory też wśród kmieci z ekonomii litewskich rozpoczęło się wrzenie; zaczęto podawać skargi do króla i kamery królewskiej na administrację; wprowadzenie jednak pańszczyzny było dla skarbu królewskiego reformą zbyt korzystną, by się miano jej łatwo wyrzekać. To też chłopci, nie zadawalniając się skargami, rozpoczęli tu i owdzie czynny opór. Najdalej opozycja włościańska zaszła w najdawniej cieszącej się swobodą od pańszczyzn ekonomii Szawelskiej. W lipcu w roku 1769 wybuchły tam poważne rozruchy: powstało tam około 2.000 włościan, w znacznej części parobków kmiecych, i pod wodzą Tomasza Lewickiego, a później Michała Pagiewicza, wójta włości Janiskiej, przyłączyli się do konfederacji Barskiej. W ten sposób na odległych kresach Rzeczypospolitej lud wziął czynny udział w pierwszej walce o wyzwolenie kraju z pod opieki rosyjskiej¹⁾.

Udział, jaki chłopci polscy tu i owdzie w ostatnich wiekach istnienia Rzeczypospolitej brali w obronie kraju, był wymownym dowodem, że przy sprzyjających warunkach mogli się oni stać cenną, a niewyczerpaną siłą militarną. Jak wiadomo, pierwszy zrozumiał to w Polsce Kościuszko; zdawał on sobie jednak sprawę dokładnie, iż chcąc chłopów pociągnąć do służby wojskowej, należy rozszerzyć ich swobody obywatelskie, należy ich postawić przynajmniej w tem położeniu, w jakim, jak widzieliśmy, byli ci kmiecie, którzy już uprzednio tu i owdzie za ojczyznę walczyli. Jednocześnie więc prawie z powołaniem chłopów do wojska liniowego i pospolitego ruszenia, ogłaszał złagodzenie pańszczyzn tym wszystkim włościanom, którzy za ojczyznę krew swą przelewają. „Ten jest sposób przywiązania ludu do sprawy publicznej i ochrony go od siideł nieprzyjacielskich” — głosiło wówczas pamiętne postanowienie Naczeln-

¹⁾ Kościałkowski St.: „Ze studyów nad dziejami ekonomii litewskich”. 59.

nika¹⁾. Donioślejsze znaczenie miał jeszcze manifest Kościuszki, wydany w pięć dni później w Połańcu, nadający włościanom grunta na własność, z obowiązkami do nich przywiązanymi, przywracający im wolność przenoszenia się z miejsca na miejsce, biorący ich pod opiekę rządu. Oczywiście poruszyć całej ludności Polski nie udało się Kościuszcze, powstanie trwało zbyt krótko, a prawa obywatelskie świeżo nadane, nie mogły natychmiast wyrwać chłopów z dotychczasowej apatyj. Bądź co bądź, w bitwie pod Szczekocinami miał już Kościuszko pod swoim dowództwem pięć do sześciu tysięcy włościan—pikinierów i kosynierów, zwerbowanych z województw Krakowskiego i Sandomierskiego, po części wcielonych do regimentów, a po części tworzących dwa bataliony milicyi krakowskiej i sandomierskiej²⁾. Ruch wśród chłopów przedostał się i na prawy brzeg Wisły, ogarnął Kurpie, powiat Garwoliński, ziemię Stężycą i t. d. Na wezwanie generała Zajączka, a staraniem Lubelskiej Komisji Porządkowej zgromadzono w szeregach narodowych do 3.000 kosynierów i pikinierów, zwerbowanych wśród chłopów lubelskich³⁾. Niestety, lubliniacy nie okazali się wówczas tak doskonałym materiałem żołnierskim, jakim byli kościuszkowscy krakusi i nie dotrzymali Rosyanom placu w smutnej pamięci bitwie pod Chełmem. W każdym razie powstanie Kościuszki było najpoważniejszą próbą pociągnięcia włościan do szeregów, jaka zrobiona była za Rzeczypospolitą. Tadeusz Kościuszko, wcielając w czyn idee liberalnych publicystów z czasów sejmu czteroletniego, wykazał łączność, jaka istnieje pomiędzy patriotyzmem, a swobodami obywatelskimi i stworzył sobie pomnik nieśmiertelny.

¹⁾ Korzon Tadeusz: „Kościuszko”. Str. 319.

²⁾ Ibidem. Str. 342.

³⁾ „Pamiętnik Kajetana Koźmiana”. Poznań, 1858. Oddział I. Str. 232.

STAN ROLNICTWA POLSKIEGO W DOBIE POWOJENNEJ, A PROGRAM EKONOMICZNY LUBECKIEGO.



nienia prawidłowego zbytu rolnictwa, do podniesienia ceny „bezcennego zboża”.

W okresie porewolucyjnym cena ziemi spadła wskutek usuwania się dawnych właścicieli. Wypłynęli wówczas na widownię ludzie nowi, dawni administratorzy, lub ekonomowie, wiele majątków pozostało bez właścicieli. Zaczęła się dzika spekulacja majątkami, rolnictwo poniosło dotkliwe straty. Przyczyniły się do tego klęski elementarne, pomór bydła i koni w roku 1832. Ceny mięsa podskoczyły. Chcąc przyjść rolnikom z pomocą, bank

pierwszym okresie działalności Banku do powstania listopadowego, Bank główną opieką otaczał handel zbożowy. Stało się to siłą faktów. Eksport ziemiofródów był głównym źródłem dochodów rolnictwa w okresie urzędowania Lubecckiego. Pomoc Banku w rozwoju handlu zbożowego była dalszym ciągiem polityki księcia ministra, dążącego do zapew-

sprowadza na własny rachunek 40.000 sztuk bydła i koni, które sprzedaje rolnikom.

Z dalszych czynności w celu podniesienia rolnictwa, należy się wspomnieć o kredycie na zakup maszyn rolniczych. „Wskutek klęsk, jakie ostatnia wojna pociągnęła, powiększył się po wsiach niedostatek rąk pracujących” — głosi protokół Rady administracyjnej z dnia 3 sierpnia 1833 roku¹⁾. Bank zwrócił się do Dyrektora Komisji Przychodów i Skarbu z oświadczeniem, iż pragnie udzielać kredytu właścicielom ziemskim na zakup maszyn i narzędzi rolniczych. Wysokość kredytu według instrukcyi z roku 1840 nie mogła przenosić trzy razy pomnożonego podatku ofiary, w dziesięć lat później ten kredyt został zwiększony do sześcioletniego podatku ofiary w gub. warszawskiej i płockiej, czteroletniego — w innych guberniach. Otrzymujący kredyt zobowiązywał się spłacić takowy w dwunastu ratach półrocznych.

Na takich samych warunkach Bank Polski udzielał kredytu na zakup nawozów sztucznych, sprowadzanych przez Bank w większych ilościach z Ameryki. Oprócz tego Bank udzielał kredytu na zakup inwentarza i rozplodowców (1859), popierał górzelnictwo i pośredniczył w zakupie i sprzedaży zboża, dając zaliczki na spławiane do Gdańska zboże. Należy wspomnieć o budowie magazynów zbożowych w Modlinie z rozkazu Paskiewicza dla zaopatrzenia w zboże wojska; magazyny zostały otwarte w roku 1840.

W roku 1843 poczęto myśleć w Banku o udzielaniu pożyczek hipotecznych na dobra ziemskie, uzupełniając w ten sposób działalność Towarzystwa Kred. Ziemskiego. Na skutek inicjatywy Banku wydanym został w dniu 14 lipca 1845 roku ukaz, na mocy którego Bank mógł udzielać pożyczek długoterminowych na hipotekę na pierwszym, bądź na drugim miejscu do wysokości $\frac{2}{3}$ szacunku dóbr. Pożyczający opłacać miał Bankowi 6 $\frac{0}{10}$ w dwóch ratach półrocznych, z czego 5 $\frac{0}{10}$ na oprocentowanie, 1 $\frac{0}{10}$ na umorzenie kapitału²⁾.

¹⁾ Ob. Radziszewski. Op. cit. Str. 279.

²⁾ Zbiór urzędzeń i przepisów Banku Polskiego. T. III, str. 266—269. Por. H. Radziszewski. Op. cit. Str. 302.

Do roku 1870, gdy na mocy reskryptu ministra finansów zabroniono Bankowi dokonywania tych operacji, Bank udzielił rolnictwu 3 miliony rubli pożyczek hipotecznych.

Oprócz pomocy udzielanej rolnikom bezpośrednio, Bank przyczynił się do podniesienia rolnictwa drogą pośrednią, budując drogi i środki komunikacji, ożywiając górnictwo, przemysł i handel. W ten sposób Bank rozszerzał produkcję, jednocześnie tworzył dla rolnictwa wewnętrzny rynek zbytu, podnosił konsumpcję krajową.

Bank Polski, dzięki swym światłym kierownikom, stał się od początku instytucją nawskroś obywatelską, i pozostał taką do końca swego istnienia, gdy w roku 1885 nastąpiła jego likwidacja, z zamianą na Kantor Banku Państwa. Daleką była dla kierowników myśl zysków doraźnych; dążyli bez wytchnienia i bez skazy do podniesienia kraju pod względem gospodarczym, upatrując w tem najpewniejszą podstawę bytu narodowego.

Kierownicy Banku zdawali sobie sprawę z ważności środków komunikacji dla gospodarstwa społecznego. Bank w roku 1829 zawarł układ z Komisją Spraw Wewnętrznych i Policyi, na mocy którego Bank zobowiązał się zaliczyć Komisji tytułem pożyczki 14 mil. złp. na budowę dróg bitych. Wykonaniem budowy miał się zająć Bank i postanowiono wybudować następujące trakty: Krakowski — przez Radom i Kielce, Lubelski, Wołyńsko-Śląski, Białostocki i fabryczny od Łowicza do Torunia. Do robót przystąpiono w roku 1830, do końca tegoż roku Bank wydatkował $2\frac{1}{2}$ mil. złp.

Jednym z celów polityki handlowej Lubeckiego było uniezależnienie polskiego handlu zbożem od pruskiej taryfy celnej. Zamiast eksportować ziemiopłody do pruskich portów, chciał otworzyć drogę do nadbałtyckich portów rosyjskich (Libawa, Ryga). W tym celu wyjednał 27 lipca 1824 roku dekret królewski, nakazujący budowę Kanału Augustowskiego, wiążącego Wisłę z Niemnem przez Narew. Zabrano się do dzieła i już przed rewolucją roboty około budowy kanału zostały znakomicie posunięte i wydatkowano już na ten cel z funduszków rządowych około 10 mil. złp. Po rewolucyi rząd zaproponował Bankowi prowadzenie nadal budowy kanału, awansując koszta, jakich

będzie wymagać ukończenie kanału, stosownie do planów i kosztorysów, sporządzonych przez Komisję Spraw Wewnętrznych. Ukończenie kanału na przestrzeni 14 wiorst nastąpiło w roku 1840; zarząd nim przeszedł narazie do Banku Polskiego, w którego administracyi pozostawał do roku 1844, 22-go zaś listopada tegoż roku kanał przeszedł pod Zarząd Komunikacyi Lądowych i Wodnych. Skarb zwrócił Bankowi wyłożone nakłady, umarzając je ratami.

Bank Polski powziął inicjatywę budowy pierwszej kolei żelaznej w kraju, która z polecenia Henryka Łubieńskiego miała połączyć Warszawę z Zagłębiem węglowem, według planu inżyniera Wysockiego, który już w lutym 1835 r. złożył raport szczegółowy o projekcie „drogi szynowej od Niwki do Warszawy”. Budowę kolei przeprowadziło w r. 1848 towarzystwo akcyjne. Bank Polski był jednak pierwszym inicjatorem w tem ważnem dla kraju przedsięwzięciu.

Wielkie usługi oddał Bank krajowi, otaczając troskliwą opieką budzący się przemysł krajowy i górnictwo. Bank popierał rozwój gospodarczy, udzielając przedsiębiorstwom pożyczek długoterminowych, zakładając nowe fabryki, administrując temi, które potrzebowały opieki. Gdy przedsiębiorstwo mogło pracować o własnych siłach, oddawał administracyę prywatnym kapitalistom.

W roku 1833 Rada Administracyjna Królestwa Polskiego oddała Bankowi w administracyę górnictwo. W tym celu utworzono t. zw. Wydział Górniczy. Produkcycę cynku Bank wypuścił w dzierżawę Piotrowi Steinkellerowi na lat dwadzieścia, na mocy umowy z dnia 9 grudnia 1836 roku (huty górnicze pod Będzinem, w Dąbrowie i Niemcach, oraz walcownie w Sławkowie). W roku 1837 Bank oddał w administracyę hutnictwo żelazne Maurycemu Koniarowi na lat dwadzieścia pięć. Kopalnie węgla nadal pozostały przy Banku, który objął również w administracyę warzelnie soli w Ciechocinku.

Nie mniejszą troskliwością otaczał Bank Polski kiełkujący przemysł polski.

Bank udzielał przedewszystkiem pożyczek na zakłady przemysłowe. Wedle instrukcyi z roku 1840, Bank mógł być

udzielać pożyczek dwojakiego rodzaju: długoterminowych, nie-przenoszących lat dwunastu i krótkoterminowych, nie dłuższych nad dziewięć miesięcy.

Bank Polski otaczał pieczę Towarzystwo wyrobów zbożowych w Warszawie, założone jeszcze w r. 1826, które trudniło się mieleniem zboża w młynie parowym przy ul. Jerozolimskiej, w pobliżu Wisły. Bank Polski zobowiązał się w roku 1830 (5 maja) udzielać zaliczeń na mąkę pszenną, przygotowaną do wysyłki za granicę. Po upadku Steinkellera, który prowadził Młyn parowy do roku 1853, młyn przeszedł był na własność Banku, prowadzonym będąc do roku 1868, t. j. do chwili, gdy młyn przeszedł na własność J. Blocha.

Nie wchodząc bliżej w osnowę kontraktów i umów, zawieranych pomiędzy Bankiem, a różnymi przemysłowcami, wskażemy w krótkości na najważniejsze przedsiębiorstwa zakładane lub administrowane przez Bank Polski. Do nich zaliczamy fabrykę machin na Solcu (obecnie Tow. Akc. Lilpop, Rau i Loewenstein). Bank administrował tę fabrykę do roku 1841, gdy fabryka przeszła pod administrację W. Raua. Papiernię w Jeziornie, założoną w początkach XIX wieku, Bank kupił w roku 1830 i prowadził ją z przerwami do roku 1869, gdy sprzedał ją Reslerowi za 65.000 rb.

Największa przędzalnia w Żyrardowie, założona w roku 1825 według wzorów Girarda, przeszła na własność Banku Polskiego w roku 1847. W roku 1857 sprzedał fabrykę Hillemu i Dietrichowi. Bank Polski przejął też na własność dobra Ostrowieckie z fabryką żelaza oraz walcownię żelaza w Irenie.

Działalność rozwinięta przez Bank Polski w celu ratowania zagrożonych placówek produkcji krajowej była owocna. Obecny wielki przemysł i górnictwo zawdzięczają wiele opiece, którą Bank Polski otaczał te gałęzie produkcji w początkach ich rozwoju. Stwierdzić wypada, że działalność Banku była niezwykle rozległą. O tem świadczą słowa Lubeckiego¹⁾. „W Ban-

¹⁾ Mowa J. O. X. X. Lubeckiego, Ministra prezydującego w Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu, miana przy instalacji Komisji Umożnienia na publicznem zdaniu sprawy Banku Polskiego dnia 4 września 1829 roku (druk in 8-o, 12 str.). Str. 7. Ob. Smolka, tom I, str. 388.

ku Polskim, mówił Lubecki, ujęte widzicie w jeden nierozpojony węzeł te wszystkie cele, które w krajach rozleglejszych na różne pojedyncze rozchodzą się zakłady. I tak jego jest rzeczą umarzać dług publiczny, przykładać się do rozszerzenia kredytu, handlu i przemysłu narodowego; przyjmować depozyta i sumy różnego rodzaju, bądź dla przekazów, bądź na procent; czynić pożyczki dla Dyrekcyi Głównej Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego; nabywać i zbywać papiery publiczne; skupować weksle; pożyczać na zastawy papierów publicznych, płodów, wyrobów i rozmaitych kosztowności; zapomagać przemysłowe w kraju zakłady; wreszcie czynić własne przedsięwzięcia, ku dobru handlu, kredytu i przemysłu narodowego zmierzające. Przy tak przestronnym czynności zakresie, łatwo pojąć, że mimo ich różnaitość, każda z nich zasila inne i wspiera, na wzór owych koła promieni, które wynikając z obwodu, w jednym się środku spólnym dla wszystkich zbiegają. Ale zarazem i ta nastęrcza się uwaga, jak wysoka ciąży odpowiedzialność na urzędnikach, którym tak urozmaiczone czynności jednodężne prowadzić wskazano...

Patrząc na działalność Banku ze stanowiska teoryi i współczesnej techniki bankowej, możnaby poddać wątpliwości połączenie w jednej instytucyi kredytu długo i krótkoterminowego. Obecnie tak w bankowości, jak i w całym ustroju gospodarczym, istnieje daleko posunięta specjalizacya. Tworzą się osobne banki handlowe, operujące głównie kredytem wekslowym krótkoterminowym, banki przemysłowe i hipoteczne, które udzielają kredytu długoterminowego. Za czasów Lubeckiego życie gospodarcze było słabiej rozwinięte. Połączenie w jednej instytucyi funkcji spełnianych obecnie przez różne zakłady nie pociągało zbyt wielkiego niebezpieczeństwa. Bank, będąc przedewszystkiem instytucyą obywatelską, dążąc do podniesienia gospodarczego kraju, musiał spełniać funkcye nader różnorodne.

Bezpośrednia pomoc okazywana rolnictwu nie obejmowała zbyt wielkiego zakresu. Istniało już wówczas Tow. Kred. Ziemskie, założone specjalnie dla niesienia pomocy zagrożonemu rolnictwu. Bank Polski skoncentrował swe wysiłki przedewszystkiem w celu popierania, a niekiedy i ratowania przemysłu i gór-

nictwa. W ten sposób przychodził jednak pośrednio z pomocą i rolnictwu.

Łączność pomiędzy przemysłem i rolnictwem jest nader ścisła. Przemysł jest dla rolnictwa najpewniejszym rynkiem zbytu; rolnictwo dostarcza bowiem niezbędnych surowców, zwłaszcza przy przemyśle rolniczym, jak młyny, gorzelnie, browary, cukrownie i t. d. Przemysł wpływa na wzrost miast, na zagęszczanie ludności, podnosi stopę życiową, rozwija nowe potrzeby, dawniejsze domagają się wówczas lepszego zaspokojenia, wzrasta stopień kultury i bogactwa, a to wszystko wpływa na wzrost konsumpcyi, a tem samem rozszerza rynek zbytu dla produktów rolnych.

Podniesienie stanu ekonomicznego kraju, to największa zasługa twórców Banku Polskiego i pierwszego jego inicjatora, księcia Lubeckiego.

Ludzie, których Lubecki postawił na czele Banku, zwłaszcza prezes Henryk Łubieński, jak i poprzednik jego, Jelski, stanęli na wysokości zadania i mieli pełną świadomość odpowiedzialności, która na nich ciąży. W dniu otwarcia Banku tak przemówił Jelski, zwracając się do Lubeckiego: „Książę! Tyś osądził, że słabe siły nasze dźwigać ten ciężar potrafią; tyś nas wskazał królowi; ty więc nas wspieraj w tym nowym zawodzie, a pomoc twa, której dobroczynnych skutków doznały już wszystkie tworzące się w kraju instytucje, zdolną będzie i siły nasze podwoić i zjednać dla nas potrzebne w publiczności zaufanie”.¹⁾ To nie były czcze frazesy, lecz słowa płynące ze zrozumienia ogromu zadania, które kierownicy na swe barki wzięli. Jak się z tego zadania wywiązali, świadczą rezultaty ich pracy, polegające na odbudowaniu ekonomicznem kraju, na bronieniu zagrożonego bytu narodu.

Bank Polski był ostatniem dziełem Lubeckiego, koroną szeroko obmyślanego programu w celu gospodarczego podniesienia kraju.

Na tem kończymy przegląd położenia rolnictwa polskiego, gdy po burzach dziejowych znalazło się nad brzegiem przepaści,

¹⁾ Ob. Smolka. T. I, str. 389.

oraz środków zaradczych, jakich chwyciło się społeczeństwo, by z nastaniem pokoju w roku 1815 podnieść z upadku gospodarstwo krajowe. Na tle wysiłków ratowania ojczyzny wysuwa się na pierwsze miejsce postać księcia ministra; działał on wiele w krótkim czasie swego urzędowania, mógłby uczynić jeszcze więcej, gdyby nie jeden złowrogi wieczór listopadowy, który zmroził tyle rozpoczętych przedsięwzięć.

Powracają w ewolucyi gospodarczej momenty do siebie zbliżone, lecz nie identyczne. Historia, jak rzekliśmy, służy nie tylko do wskrzeszenia przeszłości, lecz tłumaczy nam terażniejszość, pozwala w szczyptych ramach przewidywać przyszłość. Chwile obecnie przeżywane nie mają sobie równych w dziejach ludzkości. Historia blednie wobec wojny obecnej. Jesteśmy świadkami największej tragedyi dziejowej, która trwa od przeszło 10 miesięcy¹⁾, dochodzi do najwyższego natężenia, a której końca przewidzieć nie sposób.

Rolnictwo nasze, jak i całe życie gospodarcze, znajduje się obecnie w odmiennych warunkach, niż 100 lat temu. Ustrój gospodarczy jest skomplikowany, poszczególne gospodarstwa związane są w jedną nierozzerwalną całość wskutek podziału pracy i wymiany. Warunki, wśród których rolnictwo polskie rozwija się obecnie, zmieniły się do niepoznania w okresie stuletnim. Wzrost ludności, a jako następstwo—podniesienie ceny ziemi sprawiły, że warunki produkcji rolniczej są coraz trudniejsze, że tylko drogą intensywnej uprawy ziemi, drogą zwiększonej wydajności rolnik może pokrywać koszty produkcji. Jednocześnie musi walczyć z konkurencją krajów, mających ziemi pod dostatkiem, jak Rosya i Ameryka, a nawet Prusy, które wskutek premii wywozowych w ostatnich latach poczęły swem zbożem zalewać polskie rynki. Polska przestała już być śpichrzem Europy, z kraju, eksportującego płody rolnicze, zamieniła się w kraj importujący.

Pod jednym względem skutki wojny obecnej dla rolnictwa będą zbliżone do następstw wojen napoleońskich—nastąpi prze-

¹⁾ Słowa pisane w czerwcu 1915 r.

silenie gospodarcze; będzie jednak posiadało odmienny charakter tak co do rozmiarów, jak i rodzaju.

Wskutek postępów w technice rolniczej, większa własność rolna ma więcej do stracenia, niż po wojnach napoleońskich. Postępy w technice wojennej sprawiają, że to zniszczenie jest doszczętne na terenie działań wojska. Kultura wiekowa zniszczona, zabudowania — zrównane z ziemią, inwentarz zarekwirowany — oto obraz, który się nam przedstawi po skończonej wojnie. W ten sposób zginie kapitał wytwórczy, dźwignia bogactwa narodów.

Przesilenie obecne w stosunku do rolnictwa będzie posiadało i odmienny charakter, różnić się będzie jakościowo. Po wojnach napoleońskich nastąpiło przesilenie, wywołane nadmiarem produktów wskutek zamknięcia eksportu, które się wyrażało w spadku cen, „w beczczości zboża”. Widzimy obecnie przesilenie wywołane brakiem towarów, a występujące w postaci ogólnej drożyzny ziemioplodów w Królestwie. Faktem znamionym jest, że, zależnie od miejsca, przesilenie rolnicze zmienia swój charakter, jest natury lokalnej. W Królestwie, bliżej teatru wojny, artykuły żywności podskoczyły niepomiarowo w cenie. W odleglejszych guberniach Cesarstwa, wskutek braku eksportu, gromadzą się zapasy, cena spada.

Wskazaliśmy wyżej na znaczenie środków komunikacji w życiu gospodarczym, które łączą produkcję z konsumpcją.

Jeśli między produkcją, a zapotrzebowaniem powstanie przedział, wskutek przerwy lub utrudnienia w środkach komunikacji, cierpi na tem produkcja i zapotrzebowanie, brakuje dla jednego z tych aktów drugiego korrelatu. Przy utrudnieniu komunikacji na niewielkiej stosunkowo przestrzeni występują jednocześnie objawy braku i nadmiaru towarów. W pewnych okolicach następuje hyperprodukcja, gromadzą się zapasy, towary ulegają deprecjacji i zepsuciu, w innych miejscach, do kąd niesposób dostarczyć towarów, występują zjawiska wprost odmiennie, a zatem brak towarów, drożyzna, niedostateczne zaspokojenie potrzeb.

Znaczenie środków komunikacji tak dla celów gospodarczych, jak i strategicznych, występują podczas obecnej wojny,

w całej pełni. W państwie rosyjskiem, gdzie sieć kolejowa jest niewystarczająca, powstają wielkie trudności przy dyslokacji wojsk, jak i dostaw dla ludności cywilnej. Tem się tłómaczą przeciwne objawy przesilenia rolniczego na obszarze państwa; bliżej działań wojennych ceny artykułów pierwszej potrzeby idą niepomierne w górę; na tem cierpią konsumenci; warstwy uboższe nie są w możności zaspokoić potrzeb niezbędnych. W guberniach środkowych—gromadzą się zapasy zboża, cena spada niżej normalnej.

Znaczne różnice w cenach ziemiopłodów, zależnie od miejsca i od możności dostawy, to pierwszy objaw obecnego przesilenia rolniczego; jest to skutek chwilowy, wywołany wojną, utrudnieniem dowozu, połączenia produkcji i zapotrzebowania. Z nastaniem warunków normalniejszych, drożyzna artykułów żywności, jak chleba, mięsa i t. d. powinna zniknąć, gdyż usunięta będzie jej przyczyna — dezorganizacja środków komunikacji. Powinna zniknąć, lecz prawdopodobnie nie zniknie tak prędko. Drożyzna bowiem jest wynikiem nietylko zwichnięcia równowagi między zapotrzebowaniem a zaofiarowaniem, lecz oparta jest często na zмовie pośredników, kupców hurtowych i detalicznych.

Ogólny kierunek cen zwykłych, zwłaszcza artykułów żywności, który się począł na Zachodzie już w końcu zeszłego wieku, a doszedł w ostatnich latach do tak potężnych rozmiarów, posiadał swe źródło, między innymi, w wadliwej organizacji handlu, w wyzyskiwaniu uprzywilejowanego położenia pośredników wobec konsumentów, w potężnych organizacjach producentów, jak trusty i kartele.

Wojna obecna wywoła prawdopodobnie obniżenie cen ziemi zwłaszcza na terenie działań wojennych. Obniży się oczywiście wartość majątków, zniszczonych przez wojnę, tak wartość użytkowa, jak i wymienna. Niepewność sytuacji, brak zaufania, wreszcie potrzeba dla wielu gospodarzy dojścia do posiadania kapitału obrotowego zwiększy podaż ziemi, wpłynie na spadek cen. Ten rzeczywisty spadek cen ziemi może być do pewnego stopnia zniwelowany niżką wartości pieniędzy, której również oczekiwać należy. Rozpocznie się spekulacja grun-

tami, zjawisko występujące po każdej wojnie, jak wskazuje historia. Podobne objawy występowały we Francji po wielkiej rewolucji, po wojnach napoleońskich, u nas po rewolucji listopadowej. Występują na arenie gospodarczej ludzie nowi, spekulanci i dorobkiewiczze, którzy pragną się za wszelką cenę wzbogacić krzywdą innych. Są to ludzie chciwi łatwego zysku, nie przebiegający w środkach, aby dojść do celu. Takie jednostki pogarszają stosunki socyalne, lecz często posuwają najdzielniej postęp gospodarczy. Następstwem przesilenia gospodarczego wskutek wojny jest mało solidna przedsiębiorczość, chęć szybkiego wzbogacenia się za wszelką cenę, lekkomyślność, upadek etyki gospodarczej.

Dlatego też po każdej wojnie przychodzi okres wzmożonej produkcji. Podczas okresu wojennego cały szereg potrzeb tak niezbędnych, jak i społecznych nie otrzymuje odpowiedniego pokrycia; z tem większą siłą występują, gdy życie poczyna wracać do normalnych warunków.

Ostatnie zjawisko godne zaznaczenia — to stosunki robocze w chwili wojny, jak i w dobie powojennej. Podaż pracy zmniejsza się, powstaje brak rąk roboczych. To zjawisko występowało i dawniej. Czytaliśmy przecież w protokóle Rady administracyjnej z dnia 3 sierpnia 1833 roku, że „powstał na wsi brak rąk roboczych wskutek klęsk, jakie ostatnia wojna pociągnęła”. Brak rąk roboczych pobudził Bank Polski do sprowadzania maszyn rolniczych. Podobne utyskiwania na brak robotników znajdujemy w dziełach rolniczych, wydanych podczas lub po wojnach napoleońskich, np. w cytowanym „głosie pisał Marjampolskię” z roku 1811, w dziełach Cyprysińskiego (1847 r.), Skarbka i t. d. Wojna zabiera, często bezpowrotnie, produkcyjne siły narodu — to jedna przyczyna wpływająca na brak sił roboczych. W Rosyi istnieje druga przyczyna świeżej daty — skasowanie monopolu wódczanego. A. Smith uczynił tę słuszną uwagę, że gdyby robotnik ze słabo rozwiniętymi potrzebami mógł w przeciągu 4 dni zarobić to samo, na co przedtem potrzebował tygodnia pracy, pracowałby zapewne tylko 4 dni w tygodniu. Ten sam objaw wystąpi, skoro zmniejszy się budżet wydatków robotnika. Bodźcem do pracy i punktem wyjścia dla działalności go-

spódarkzej człowieka są jego potrzeby. Czem potrzeby liczniejsze i bardziej różnorodne, tem silniejszy istnieje bodziec do podjęcia trudu. Skala potrzeb naszego włościanina, a tem bardziej rosyjskiego, jest minimalna. Gdy wskutek skasowania wódki, przynajmniej chwilowo, przy małej skali potrzeb, wydatki domowe zostały silnie zredukowane, odpada ważny bodziec do pracy. Podkreślam, że może to być zjawisko chwilowe; w miarę wzrostu skali potrzeb i kultury, brak wódki, twierdzimy to z całą pewnością, zwiększy chęć do pracy, wpłynie potężnie na wzrost produkcji krajowej i dobrobytu szerokich warstw. Już obecnie dają się odczuwać zbawienne skutki skasowania alkoholu. Olbrzymi wzrost wkładów do kas oszczędności w paru ostatnich miesiącach jest przynajmniej częściowo wywołany brakiem alkoholu. Podczas czterech miesięcy wojny (od 1 stycznia do 1 maja 1915 roku) wkłady do państwowych kas oszczędności w Rosyi wyniosły sumę 207.7 milionów rubli, podczas gdy w tych samych miesiącach roku poprzedniego doszły do 40 mil. rb. ¹⁾, podniosły się zatem pięćdziesiąt razy.

Powstaje pytanie, co wobec przesilenia obecnego wypadu czynić rolnikom dla ratowania zagrożonych placówek. Widzieliśmy, że po wojnach napoleońskich znaleźli się ludzie, a zwłaszcza jeden człowiek, który ręk nie opuścił — był nim Lubecki. Widzieliśmy również, jak wielką wagę przywiązywał książę minister do uregulowania stosunków kredytowych w celu przyjscia z pomocą rolnictwu; powołał do życia aż dwie instytucje kredytowe, dzięki którym zadłużone rolnictwo uratowano od niechybnego upadku przez dostarczenie kapitału na prowadzenie gospodarstwa, uwalniając rolników od długów gnojących. Nie da się zaprzeczyć, że obecnie kredyt wytwórczy odgrywa znacznie donioślejszą rolę w gospodarstwie, niż przed stu laty. Rozpatrzenie zasad nowej instytucji kredytowej dla przyjscia z pomocą zagrożonemu i zniszczonemu przez wojnę rolnictwu, nie wchodzi w zakres naszych badań.

W dobie po wojnach napoleońskich wystąpiły już usiłowania podniesienia rolnictwa drogą samopomocy. Tego zadania

¹⁾ „Nowoje Wremia” 22 maja (4 czerwca), 1915 roku.

dokonać miało „Towarzystwo gospodarczo-rolnicze”, powołane do życia w roku 1810. Myślą przewodnią Towarzystwa było objęcie rolnictwa zakresem pracy publicznej i naukowej. Głównym celem Towarzystwa według ustawy było „przywoitsze pól dworskich i włościańskich urządzenie, aby nie ugorowały” oraz „utrzymanie żyzności gruntu przez nawożenie”. Rzecz jednak wobec wojny 1812 r. poszła w odwłokę. Pierwszy okres istnienia Towarzystwa 1810—1812 r. nie zaznaczył się żadnym czynem. Poprzestano na różnych projektach, projektach nieurzeczywistnionych. To samo da się powiedzieć i o drugim okresie istnienia Towarzystwa gospodarczo-rolniczego (1815—1817 r.), gdy Towarzystwo zamarło wśród obojętności ogólnej.

Obecnie instytucje rolnicze, oparte na zasadach współdzielczych, rozwinęły się w Polsce naogół pomyślnie. Tow. Kredytowe Ziemskie udzieliło pożyczek do 13 listopada 1914 roku na sumę 201 mil. rubli. Dla drobnej własności rolnej, jak i dla drobnego przemysłu, istniało na początku 1913 roku 872 towarzystw drobnego kredytu, w których wkłady wynoszą 60 milionów rubli. Oprócz tego istnieje instytucja rządowa—Bank Włościański, udzielający włościanom znacznego kredytu przy parcelacji majątków ziemskich (pozostałość niespłaconych pożyczek wynosiła 1/14 stycznia 1913 roku 76 milionów rubli ¹⁾).

Istnieje wreszcie Centralne Tow. Rolnicze, założone w roku 1908, stanowiące centralę prowincjonalnych Towarzystw Rolniczych w kraju i t. zw. Kółek rolniczych. Celem Towarzystwa jest otoczenie pieczą naukową i gospodarczą polskiego rolnictwa.

Wzmożenie działalności dotychczas istniejących związków samopomocy, jak i powołanie do życia nowych, które będą udzielać kredytu wytwórczego zagrożonemu przez wojnę rolnictwu, oto hasło dla doby obecnej.

Pocieszającym objawem, świadczącym o zgodnej działalności społeczeństwa w celu przyjscia z pomocą zagrożonym przez wojnę placówkom, jak również jednostkom, które ucierpiały wskutek wojny—są sprawnie działające Komitety Oby-

¹⁾ Statistika dolgosrocznawo kredita w Rosii, 1914. Zeszyt I, str. 18.

watelskie. Udzielanie kredytu konsumcyjnego w naturze lub pieniądzech, aczkolwiek ze stanowiska teoretycznego niezawsze uzasadnione, a nawet często niebezpieczne, wywołane jest siłą rzeczy. Wiele jednostek, zwłaszcza wśród inteligencji, znajduje się w położeniu bez wyjścia i gdyby nie pomoc doraźna, groziłaby im zagłada. Spodziewać się należy, iż kiedy minie gorączka wojny, subwencje Komitetów zostaną udzielane więcej na cele wytwórcze, na zakup inwentarza, maszyn, narzędzi i nasion.

Zachowanie się społeczeństwa podczas wojny budzi nadzieje, że burza szalejąca nie wyróci gmachu, stworzonego wiekami kultury. A jeśli wyróci, to pokażemy, że go odbudować u podstaw umiemy.

Dr. Edward Strasburger.

STANISŁAW WITKIEWICZ.

I.



koło roku 1873 do kolonii malarskiej w Warszawie przybywa młody, dwudziestodwuletni chłopak, który po niedługim czasie obejmuje niejako ster w tym niemilknącym sejmiku, jakim jest każda grupa dobijających się uznania artystów. Jak wszyscy oni, jest malarzem, ma już za sobą pewną działalność, ale nie te zasługi wysuwają go na czoło grupy.

Ten młody chłopak imponuje starszym nawet towarzyszom — swoim wyrobieniem umysłowym. Jest dowcipny, jest złośliwy, gdy trzeba. Potrafi milczeć godzinami, ale potem w jednym zdaniu ujmie kwintesencję całowiecznej (częściej: całonocnej) dysputy, albo też zwróci ją na jedynie trafne tory. Potrafi milczeć, ale gdy go porwie werwa, może wygłosić kilkogodzinne przemówienie, przerywane jedynie przecinkami, ujętymi w kształt kieliszka ze „wzmocnioną” — mówi długo, a jednak

nikogo nie nuży, panuje nad uwagą słuchaczy i ciągle ją niejako odświeża. Myśl swoją ujmuje w postać jasną, lapidarną, to znowu ją ozdobi doskonałym dowcipem, strzałą satyryczną. Mówienie roznamiętnia go. W atmosferze swoich słów nabiera jakby natchnienia.

O czym mówi?

O wszystkim, przedewszystkiem zaś o sztuce. Ponieważ jest młodzieńcem, ponieważ kółko jest przyjacielskie, ponieważ w tym wieku dla przyjaciela zastawiłoby się w lombardzie własny żołądek (organ zresztą często zbędny przy kolektywnym nawet stanie kasy), ponieważ grono przyjacielskie w tych latach jest dalszym ciągiem mojego *ja*,—więc oczywiście sztuką dla niego i dla nich było to, co i jak malowało ich grono, oraz kilku zagranicznych koryfeuszów sztuki, przedewszystkiem Boecklin. Pacykarstwem i ohydą było zaś to wszystko, co malowali artyści uznani, co entuzjazmowało tłum i bezmyślnego „filistra“, a co popierała *bête noire* tego grona, jak zresztą każdego grona artystów: krytyka!

Czyż trzeba dodawać, że w tem gronie ożywiały się namiętności, gdy na stół obrad wchodził temat warszawskich krytyków i recenzentów sztuki plastycznej. Temat zresztą, obiektywnie rzecz biorąc, był naprawdę wdzięczny. Młodzi rewolucyoniści z grona artystycznego nie mieli zbyt utrudnionego zadania. Sięgając bowiem do spłowiejących już dziś roczników ówczesnej prasy warszawskiej, możemy rychło zorientować się, że skala odczuwania estetycznego w krytyce sztuki plastycznej nie przechodziła mizernej miary. Plenum ówczesnych krytyków, sędziów talentu a czasem i losu artystów, można dziś podzielić na dwie kategorie:

1) Rzetelnych teoretyków o typie profesorskim, przystępujących do oceny obrazów z taką samą fundamentalnością, z jaką np. Libelt lub Trentowski przystępował do oceny dzieł poetyckich — i z takim samym brakiem bezpośredniego odczucia, z takim samem przeświadczeniem, że mają przed oczyma nie zmysłowe zjawisko, lecz fragment oderwanej idei; 2) ze zwykłych dziennikarzy, którzy o sztuce plastycznej w tym lub owym organie pisali dlatego, że inne t. zw. rubryki były zajęte

przez innych kolegów. Ci dzielili się znowu na: a) pedantów, chcących jednak stanąć na wysokości zadania, a więc podsłuchujących co mówią profesorowie estetyki, by na nich w sądach swych się wzorować, b) ludzie odwiecznego i niewyplenialnego typu warszawskiego, osobowości przeświadczone o tem, że Warszawa *vult decipi*, a więc można ją zadowolić byle jakim związkim, jeśli nie stekiem frazesów. Nie wahano się utrwałać w druku taki naprzykład zbiór słów: „idealne pojęcie realnej rodzajowości nadaje mu ton moralny, który łącząc się harmonijnie z technicznym, materyalnym tonem malowidła podnosi je nad powszedniość rutyny”. Z podobnych cytata możnaby zeszyć sporą broszurę.

Krytyka malarska w Warszawie w ósmej lat dziesiątce ubiegłego stulecia była poprostu instytucją zastarzałą. Społeczeństwo na ogół mało się interesowało sztuką, literatura krytyczna tego działu lektury nie czuła więc zzewnątrz żadnej podniety, nie interesowała się nowymi prądami, które na Zachodzie rozpierały łokciami dawne punkty widzenia, kanony, dogmaty; w kraju u nas panował wszechpotężny talent Matejki — i on starczył za dogmat, teorię i orientację wrażenia. W krytyce baczono pilnie na temat obrazu, ceniono przedewszystkiem obraz historyczny. Bano się poniekąd realizmu, nie dostrzegano wdzięku w obrazie, który nie miał w sobie Anegdoty, choćby był dobrze namalowany. Trwał więc postulat *literackiego malarstwa*.

Owo zaś grono młodych artystów przesiąkło już ideałami: „sztuka dla sztuki”. Nie temat w obrazie ceniło, lecz kunszt malarski, jakość i sposób kładzenia plam, logiczny światłocień, spoiwość rysunku, koloryt. Dumą tego grona był Gierymski, człowiek, który się zamęczał nad wydobyciem efektów świetlnych, padających na twarze ludzkie od lampy elektrycznej. Każdy punkt świetlny i każda fałda cieniu potrafiła entuzjazyzować ich i przykuwać do nieskończonych dyskusyi, tak jak estetyków starej szkoły potrafiła podniecać do pisania tomu rozpraw *idea* historyzoficzna w „Kazaniu Skargi”. — Młodzi zasie „pluli” na ideę — ich interesował koloryt obrazu, ich przekonywało jedynie to przytknięcie pędzla do płótna, jakim to

przytknięciem Matejko „wydobył” oczy królewskiego kaznodziei. — Nie mogło być więc porozumienia między młodem pokoleniem twórców, a teoretykami warszawskimi, lub „krakowską szkołą” malarzy, historyków i patryotów w sztuce.

I na tle tego nieprzejednania okazała się dopiero w pełni wartość owego niepospolitego młodzieńca, o którym była mowa powyżej. Każdy z tych malarzy, który „pluł” na ideę, na „ducha”, na „romantyzm”, który nienawidził krytyki — nosił w duszy ideał swojej sztuki, dałby sobie głowę uciąć za rację swoich odczuwań, ale nie umiałby uzasadnić swoich poglądów. Dopiero ten wielkooki sarkastyczny, a marzycielski młodzieniec stawał przed nimi, jako ucieleśniona teoria, ujęta w argumenty, dowody, w całe bogactwo polemiczne. Niejeden z jego przyjaciół umiał lepiej malować i kolorami pokazywać, czem jest ta teoria, był bardziej bezpośrednim plastykiem, ale żaden nie podołałby wydobyć z siebie takiej logiki słów i pojęć na obronę swego stanowiska. Nic więc dziwnego, że w głuchoj walce między młodem malarstwem, a krytyką warszawską już po kilku latach zasłynęło imię tego zaniedbanego w ubiorze, a wykwintnego w treści psychicznej młodzieńca: Stanisława Witkiewicza.

Urodzony w roku 1851 na Żmudzi, po roku 1863 musi wraz z rodzicami odbyć karną podróż na Syberję. Z wygnania wraca z wyrobionemi już inklinacjami malarskimi, bo w r. 1868 zapisuje się do Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu, skąd w roku 1871 przenosi się do Monachium, stamtąd do Warszawy, gdzie odrazu staje na czele tego bojowego posterunku, który przed chwilą był przez nas opisany. Ten bojowo-dyalektyczny posterunek bardziej odpowiada jego wewnętrznej naturze, niż praca malarska. Jako technik i jako artysta napotyka na znaczny opór, który, jeśli pokonywa, to nie tyle siłą owej tajemnicy, która się nazywa talentem, ile inteligencją i uporem. Sztuka i twórczość jest mu raczej odskocznią, na której nabiera pędu jego bujna potrzeba myślenia, definiowania, a nadewszystko wojowania. Im więcej ma przed sobą nieprzyjaciół, im twardszy do zwalania mur przeciwnych poglądów, tem sprężysć działa jego umysł, trafniejsze powstają w nim idee, zwawiej krystalizuje się jego punkt widzenia. Atmosfera ówczesnej kry-

tyki i sztuki była więc idealnem środowiskiem dla dyalektycznego talentu Witkiewicza.

Słabą stroną tego stanu rzeczy była okoliczność, że cały ten wartki młyn jego poglądów działał w szczupłym jeno gronie, w kawiarniach i pracowniach. Po kilku latach było widoczne, że w tym malarzu tkwi doskonały materiał na *krytyka*. Żeby choć w części napisać mógł to, co mówi! Będzie to może chaotyczne, ale działające na publiczność. Coraz bardziej ustalała się potrzeba znalezienia pisma, w któremby Witkiewicz mógł wypowiedzieć się w imieniu własnem i w imieniu młodej sztuki polskiej.

Rok 1885 stał się tą przełomową datą w życiu Witkiewicza. W tym to roku Artur Gruszecki, objąwszy redakcję tygodnika *Wędrowiec*, zaprasza Witkiewicza do *literackiego* współpracownictwa w piśmie; powierza mu dział krytyki malarskiej. I od pierwszego artykułu debiutanta, okazuje się, że nie były mylne te przeczucia, które Witkiewiczowi pióro wskazywały, jako najbardziej mu przyrodzone narzędzie działania.

Jak wszyscy ludzie, którzy w dojrzałym wieku zaczynają pracować dla literatury, tak samo Witkiewicz, trzydzieści cztery lat mający podówczas, wszedł do piśmiennictwa w „pełnej kondycji”. Nie przechodzi okresu niemowlęstwa literackiego, ni młodzieńczości, zaznaczonej niepokojem języka, dziwactwem, oryginalnością za wszelką cenę. Od pierwszych prac wykazuje pewność siebie pisarską, gotową indywidualność, samowiedzę swoich środków i pojmowania, jak trzeba pisać, by być zrozumiałym.

Nowy pisarz polski nie zna kokieterii stylistycznych. Piśsze po prostu. Wszedł do literatury, by wypowiedzieć szereg myśli, które oddawna wypracowywał jego temperament: o nic innego nie dba. Nie gubi się w dekoracyjnych świecidłach mowy, kładzie na papier te tylko wyrazy, które są niezbędne dla wypowiedzenia przekonań. A że, — nie wiedząc jeszcze wówczas o tem, — ma talent pisarski, więc ta myśl wydobywa się ze zdań swobodnie, jest małowólna i ścisła. Witkiewicz, jako pisarz, ma już u swoich początków to, czego tak często w artykułach swoich domaga się od malarzy: każde zdanie, przezeń na-

pisane, można myślą objąć odrazu (jak się odrazu, jednym spojrzeniem, obejmuje dobrze skomponowany obraz) — słowo w zdaniu najważniejsze umieszczone jest precyzyjnie na właściwym miejscu.

Od pierwszych też tych artykułów okazało się jeszcze coś więcej.

Okazało się, że ten filozofujący rewolucjonista z pracowni i z knajpy, ten rozrzucający tysiącami spostrzeżeń i cytat mal-kontent, czytany przekora — potrafi i umie zdobyć się na zakończony niejako systemat estetyczny, a więc na coś więcej, niż na chaotyczny wpływ nieobowiązujących refleksów intelektualnych, bo na logiczną budowlę, mającą swój pion i swoje fundamenty. Okazało się, że przez te lata „gadania” po pracowniach o sztuce i artystach, odbywała się w mózgu Witkiewicza namiętna praca koordynacyjna. Samouk i w tej nowej dlań dziedzinie myślenia literackiego, z ambycją samouka pochłaniał (widać to z jego artykułów) całe stopy druku. Pochłaniał zapewne z tą stratą czasu, na jaką narażony jest każdy autodydakta, któremu fakultet nie daje wskazówek, co i w jakim porządku badać, — ale za to bogaty w te przymusowe nabytki człowieka pierwotnego, który musi sobie być cieślą i kołodziejem, garniarzem i tkaczem. W pochodzie ku wiedzy nakładał nieraz zapewne spore kawały drogi, zbacał i błędził w ciemnościach, ale to, co wziął w siebie, było już absolutną jego własnością. Samouk męczy się, ale każda nowa prawda jest absolutnie jakby jego wynalazkiem. Twardo przy niej stoi.

Na boisko literatury wstąpił też z zuchwałością człowieka, który wie o tem wszystkim, co wart—i ufny w atmosferę współczucia lichych, niedogrzanym poddaszy, na których się gnieźdzą i z góry na świat gwizdzą tacy ludzie, jak: Chełmoński, Gierymski i cała młodzież artystyczna. Ta to właśnie gromada, biorąc sobie *Wędrowiec* za bazę operacyjną, postanowiła urządzić najazd na spokojne azyle krytyki malarskiej w Warszawie, postanowiła rozprawić się z obowiązującą tutaj estetyką. Witkiewicz, żołnierski syn, szlachecki syn, wnuk i praszczur, uczył się dobrze, stanąwszy na czele całego sejmiku młodych temperamentów. Szło o dobro ukochanej sztuki, ale obok tego był w wystąpie-

niach jego poemat jakiejś ułańskiej awantury: wyzywało się kogoś na rękę. A że za nim stanęła cała ściana przeciwników, tem ci lepiej — i tak dostoję!

Dziś, z perspektywy trzydziestu lat, patrząc na ten zajazd literacki, wydaje się, iż temperament polemiczny, talent pisarski i racje krytyczne Witkiewicza nie miały zbyt trudnego zadania. Wszak poznaliśmy już główne typy ludzi i myślenie w warszawskiej krytyce sztuk plastycznych. Inaczej jednak ta rzecz przedstawiała się podówczas. Cała plejada ludzi, przeciw którym podówczas wystąpił — była klanem ludzi uznanych — nych, — Witkiewicz należał do cechu oberwańców. Kto zna ducha Warszawy, ten zrozumie, jak niewdzięczne miał więc pole do działania przyszedł autor „Sztuki i krytyki”. Ale na tej towarzysko-socjalnej kategorii nie koniec. Przeciwnicy Witkiewicza z namaszczeniem lub też z dziennikarską cynicznością, ale bronili takiej sztuki, jaką społeczeństwo intuicyjnie chciało mieć. Woleli — jak twierdzi Witkiewicz: — „źle namalowane zwycięstwo pod Byczyną od dobrze namalowanej Kaśki, skrobiącej rzepę”. Społeczeństwo domagało się i od sztuki patryotyzmu. Rozmaicie na taki stan rzeczy może się zapatrywać historia kultury artystycznej, ale kto dobrze wniknie w historię narodu, kto weźmie pod uwagę, że pragnienia takie nurtowały w pokoleniu, przeżywającym zażarcie progresywny okres rusyfikacji, ten pojmie, że dopominanie się o dyalektykę patryotyczną w sztuce było niejako wyrazem instynktu zachowawczego. Nie mogąc krzewić narodowej energii ani w urządzeniach politycznych, ani w instytucjach publicznych, ani nawet w szkolnictwie, nawet w prasie, chce podówczas Polska mieć przypomnienie patryotyzmu — w sztuce, chce Grunwaldów, Byczyn, Raławic, choćby nawet źle malowanych, jak twierdzi Witkiewicz.

Tu tkwiła utajona siła przeciwników Witkiewicza. Oni bronili może słabej nieraz sztuki, ale bronili równocześnie rzeczy nie obojętnej: narodowego ducha. Tylko że w długotrwałym sporze między Witkiewiczem, a nimi, kwestya nigdy nie doszła do tego decydującego punktu. Nie doszła może z powodów cenzuralnych. Gdyby doszła była, Witkiewicz nie zawahałby się zapewne wypowiedzieć odważnie i szczerze. Odpowiedziałby

obozowi przeciwników w ten sposób: „nie mogę uwierzyć i nie uwierzę w to, by patryotyczna tendencja w sztuce miała tak przeważające znaczenie dla *być albo nie być* narodu; wierzę natomiast, że poczucie siły narodowej tkwić w nas będzie i wtedy, gdy nie będziemy mieli sztuki patryotycznej; dobra sztuka (dobrze namalowana Kaśka z rzepą) jest tak samo objawem siły kulturalnej narodu, a więc siły narodowej”. Ponieważ zaś był pisarzem krewkim i krańcowo argumentującym, więc na dobitkę możeby jeszcze napisał: „a jeśli Polska jest narodem tak już słabym, że musi żyć morfiną patryotyczną, to z nią czy bez niej zginąć musi”.

Polemika Witkiewicza z „krytykami i recenzentami warszawskimi” nie doszła do takiego przyparcia sprawy do muru. Nie doszła w sferze literackiego sporu, ale za to doszła w sferze faktów. Niezadługo po wędrowcowym okresie Witkiewicza powstał prąd, zwany „Młoda Polska”, prąd, który ostentacyjnie wyrzekł się wszelkiej służby tendencyom, czy to moralistycznym, czy narodowym; prąd, który wyrzucił z siebie cały szereg utworów poezji i sztuki plastycznej, ogłoszonych za walkę z poczuciem narodowym i moralnym. I cóż widzimy? Społeczeństwo entuzjazmowało się temi dziełami i to samo społeczeństwo ani na chwilę nie ustało w swem wnętrzu pracować nad zbieraniem energii narodowej; gdziekolwiek nadarzyła się sposobność, przejawiała ono energię w imponującej wprost skali.

Jeśli weźmiemy w najgłębszym sensie ów tumult, jaki powstał w literaturze warszawskiej w latach 1885—1887 około artykułów Witkiewicza, zebranych potem w tom: „Sztuka i krytyka u nas”, jeżeli odtrącimy to, co było w nim z obrażonych ambicy i zagrożonych pozycji — to wrzawy i obawy ideowe nie okażą się niczem innym, tylko lękiem przed skokiem w *nieznane*. Jak wówczas, tak i za czasów „Młodej Polski”, reprezentanci tradycji na dnie duszy, w podświadomości swojej nie ufali narodowi swemu, nie wierzyli, by mógł być spoistą siłą, jeśli go się pozbawi podpórek dydaktycznych. Idea zaś, która przepływała przez temperament Witkiewicza, ufała społeczeństwu, wierzyła w mocne fundamenty narodowe, miała tę pewność, że kulturalne wnętrze społeczeństwa dojrzało do sztuki bezintere-

sownej. W ostatecznej zaś konsekwencji, spór krytyki warszawskiej z Witkiewiczem był przeciwstawieniem się dwóch typów odczuwania narodowego: ludzi, czujących kategoriami przeszłości i człowieka, wynurzonego wprost ze świadomości dnia, w którym żyje.

Oto socyologiczna niejako strona „Sztuki i krytyki”. Przejdźmy do ideowo-artystycznej.

Teoria Witkiewicza bojowała o prawo obywatelstwa tych cech, któreby można nazwać *pozytywizmem malarstwa*. Dobijanie się o uznanie dla techniki, światłocienia i t. d. było na swój sposób postawieniem tej samej zasady *pracy u podstaw*, która kilkanaście lat temu stanęła, jako hasło w życiu społecznym i literaturze. I gdy zasada ta w ideologii społecznej i w literaturze święciła już na naszym gruncie tryumf, teoria sztuk plastycznych, wspomagana zresztą wszechwładztwem geniuszu Matejki, tkwiła jeszcze na tym szczeblu zapatrywań, z którymi rozprawili się swojego czasu Świętochowski, Ochorowicz, Dygasiński, Prus. Można tedy powiedzieć, że Witkiewicz jako autor ski, Prus. Można tedy powiedzieć, że Witkiewicz, jako autor „Sztuki i krytyki”, jest ostatniem ogniwem warszawskiego łań-

Ale równocześnie w zestawieniu jego estetycznych postulatów znajdujemy i coś dalej poza pozytywizm idącego. Ów ciągły nacisk, z jakim mówi o prawie indywidualności, o talencie, jako ostatecznej decyzji w sferze uznania kogoś za artystę, to stawianie zasady, że artysta powinien rozporządzać bezwzględną wolnością w doborze tematów i wypowiedaniu się, — wszystko to znowu czyni z teorii Witkiewicza jakby zapowiedź manifestów „Młodej Polski”. Gdy w r. 1897 Ludwik Szczepański założył swe *Życie*, pierwszy i tak bujny etap nowego artystycznego prądu, to w prospekcie pisma czytać będziemy powtórzenie i śmielsze uzasadnienie tego, o co się dopominał Witkiewicz. Ostatni pozytywista warszawski był więc równocześnie w „Sztuce i krytyce” Janem Chrzcicielem sztuki następującego pokolenia, prawowitym poprzednikiem nie tylko Stanisławskiego, Mehoffera, Dunikowskiego, Weissa i innych artystów-plastyków, ale i Wyspiańskiego, poety Kasprowicza, Przybyszewskiego, całej „Młodej Polski”.

II.

„Sztuka i krytyka u nas“ wyrąbała drogę nowemu malarstwu polskiemu. Dziś, po latach, odpaść z niej musi niejedna przesada, niejeden galop stroniczy. Wiedział o tem sam Witkiewicz, gdy nie pozwalał później tłoczyć nowych edycji swego dzieła; czuł, iż nie sposób już podpisać się pod każdym zdaniem, tam umieszczonem. Ale takie, jakie jest to dzieło, z zaletami i wadami, wywarło wpływ olbrzymi. Nie będziemy tu twierdzić, że bez krytyk Witkiewicza Chełmoński nie doczekałby się chwały w narodzie; nie sposób jest utrzymywać, iż tylko „Sztuka i krytyka“ ułatwiła w malarstwie panowanie pejzażystom, przytłoczonym dawniej malarstwem historycznym, że dała prawo bytu szkicom i „sztuce stosowanej“: Witkiewicz jednak, nie kto inny, zreformował tak gust publiczności, że wszystkie te kategorie sztuki mogły znaleźć przystęp do ogółu, pręcej i energiczniej, aniżeli by się to działo wówczas, gdyby w literaturze krytycznej nie było „Sztuki i krytyki u nas“.

Nie stała się ta przemiana gustu odrazu. Wtedy, kiedy Witkiewicz bojował w *Wędrowcu*, pozostawał jeszcze w odosobnieniu. Ale ferment, wniesiony przezeń, coraz bardziej dojrzewał. Na jego teoryi kształtowało się młode pokolenie artystów, do jego poglądów zaczęła się przyzwyczajać publiczność. Niedawny śmiałek wchodzić zaczął na posterunek sławy. Rosła wrzawa około jego książek, formował się jego obóz.

W tym samym jednak czasie, kiedy na miejscu, tu, w Warszawie, sycić się mógł wielkiem wprost zwycięstwem, los każe mu opuścić miasto. Dłuższe lata niedostatku, przyglądzań się, dopomogły piersiowej chorobie, która w nim nurtowała. Lekarze każą mu opuścić Warszawę, każą szukać górskiego powietrza. Wybrał Zakopane.

Skazanie na dożywotnią więź ze słabością, ciągła sanatoryjna o sobie piecza nie może być zaprawdę radością dla czło-

wieka tak żywotnego, tak przepalającego się wewnątrznie, jakim był namiętny autor „Sztuki i krytyki”. Jeżeli jednak weźmie się pod uwagę, że z tą karą choroby przeżył do 64 roku życia, że jednak mógł pracować i działać, to należy stwierdzić, że przymus wyjazdu w Tatry był poniekąd dobrodziejstwem dla jego ducha.

Osiedlenie się w Zakopanem przerwało jednym zamachem jego przynależność do bytu cygańskiego, do tej włóczęgi nerwów i mózgu po ciasnym, mimo wszystko, kręgu kawiarni i pracowni; do tej atmosfery zacieśniającej horyzont, gdzie człowiek zbyt łatwo staje się geniuszem, jednocześnie proklamowanym przez kilkunastu wielbicieli. Po zdobyciu zaś tego stopnia uznania, które się w Warszawie nazywa „powszechną sławą”, po uzyskaniu rumoru we wszystkich salonach i redakcjach, groziło mu znowu inne niebezpieczeństwo: stać się mógł, najbardziej godną współczucia, figurą: faworytem publiczności „syreniego grodu”, — i, jak tylu innych, przed nim i po nim, zbanalizować się, rozproszkować się w mazowiecki piasek, na którym budowane są domy, ulice i artystyczne aspiracje stolicy naszego kraju.

Poza tem, teraz dopiero, po wyjeździe z Warszawy, poznaje naprawdę kraj, Polskę. Witkiewicz zawsze i wszędzie uważa się za syna wsi, na tem tle przeprowadza różnice między sobą, a człowiekiem tak nawskroś miejskim, jakim był np. Aleksander Gierymski—ale ta wiejskość Witkiewicza, jak i polskość jego, aż do wyjazdu w Tatry, wydaje mi się raczej wyrozumowaną, przez intelekt wpuszczoną w uczucie. Inaczej być nie mogło. Małym chłopcem był, kiedy go wywieziono za Ural, na Syberyę, precz od Polski. Później przebywa w Petersburgu, stamtąd pędzi za granicę, do Monachium — potem wraca do Polski, ale do Warszawy, do wielkiego zbiegowiska, które jednak nie mogło mu dać kolorytu duchowego Polski, kraju, który i dziś jeszcze, gdyby chciał, to wieś za swój symbol obraćby musiał, albo miasto tak napół wiejskie, jakim jest Kraków. I jak dalece sentymentowa strona polskości obca była Witkiewiczowi, z młodzieńczego jego okresu rozwoju, świadczy następujące wyznaczenie z korespondencji literackiej: „Kiedym, przed kilkunastu

laty, był po raz pierwszy w Krakowie, wracałem z dalekiego Wschodu. Mało mnie wtedy obchodziły rachunki z przeszłością — zbrodnie i cnoty, leżące pod wiekowym kamieniem grobu — to wszystko, co było i to, co z tej przeszłości zostało w kamiennej ruinie. Wyjechałem wtedy z Krakowa w przekonaniu, że Sukiennice są śmierdzącą kupą gruzów, kościół Maryacki wątpliwej wartości gotykiem, a Wawel tylko brudnymi koszarami". Kilkanaście lat wstecz, o których mówi trzydziestosiedmioletni Witkiewicz (rok 1888) — to czas, kiedy miał już koło dwudziestu lat, kiedy czuł się już w sobie przyszłym malarzem, a więc wiek, kiedy „z urzędu" powinien był przecie odczuć piękno Sukiennic, Panny Maryi, Wawelu. Nie odczuł jednak. Chyba więc brakło tej nici porozumienia, którą przedzie w naszych duszach kultura polska. Ale nie dość na tem. Oto teraz w 1888 roku przybywa znowu do Krakowa, pisze korespondencyę wrażeń do *Tygodnika Ilustrowanego* — znowu niema w niej miejsca na korekturę tamtych, dawniejszych wrażeń! Notuje wiele spostrzeżeń, ale o pięknie Krakowa, choćby z malarskiego tylko stanowiska, znowu nic... Kraków i Małopolskie błonia są jeszcze dlań tylko przystanią „Krakowskiej szkoły" malarstwa, z którą w *Wędrowcu* tyle kopii skruszył; strona polska Piastowskiej i Jagiellońskiej stolicy nie dotarła do niego jeszcze. Zamknięty jest jeszcze w celę swojego artystycznego pozytywizmu, której ściany równie dobrze kosmopolityczną farbą mogły być pobielane. — I dopiero pobyt w Zakopanem, wśród ludu tak nawskroś lackiego, w atmosferze przedchrześcijańskich polskich klechd, pobyt wreszcie w Galicyi, w dzielnicy, bądź co bądź, narodowemi żyjącej normami — naprowadza naturę Witkiewicza na linię ostatecznej polskości. Spada z niego cyganerya warszawska, monachijski pokost, spada nalot lat w Rosyi spędzonych, spada żmudzki regionalizm, odsłania się i w komunię z otaczającą go pra-Polską kamieni i dusz wchodzi najgłębszy instynkt Witkiewicza. Serce białorusina uzyskuje indygenat koronny.

Ta nowa przemiana psychiczna odzywać się odtąd będzie raz po raz w szeregu napisanych, i w większym jeszcze poczcie nienapisanych dzieł: w nieskończonych monologach, które z dzie-

siątkami blizkich sobie ludzi snuł w zimowe tatrzańskie wieczory. Na razie odezwię się przedewszystkiem w nowej jego po „Sztuce i krytyce” książce: „Na przełęczy”.

Pamiętna to jest data, kiedy w noworocznym 1889 r. zeszytcie *Tygodnika Ilustrowanego* pojawił się pierwszy ciąg zapowiedzianych korespondencyi Witkiewicza z Zakopanego. Już samo nazwisko autora uprzedzało jaknajlepiej do tych feljetonów, zatytułowanych „Na przełęczy”. A potem temat. Zakopane! Był to początek turystyki polskiej. Dotarcie do Zakopanego było istną pielgrzymką. Żył jeszcze potężny misionarz „Zakopianizmu” dr. Chałubiński, żył ksiądz Stolarczyk, żył Sabala, zapisany na stałe w literaturze sienkiewiczowską nowelą. Włóczyły się jeszcze po halach cienie zbójników, Zakopane miało jeszcze archaiczny charakter. Dużo już ludzi przed Witkiewiczem powyjeżdżało tutaj po zdrowie i odpoczynek, ale Zakopane nie było jeszcze „letnią stolicą”. Dużo przyjeżdżało ludzi, znało Tatry i górali, oglądało ich chaty i ich zdobnictwo, ale brakło człowieka, któryby wykrył głębszy sens Tatr, któryby się wczuł w indywidualność górala, któryby wskazał wreszcie społeczeństwu, jakie skarby rodzimości tkwią w swoistej kulturze i swoistej obyczajowości górala. Tym człowiekiem stał się dopiero — Stanisław Witkiewicz.

Rewelacye swoje rozpoczyna od chałupy góralskiej. Stylem przejrzystym, obrazowymi zwrotami, a z nabożną ścisłością, pokazuje, jak pięknem *dziełem sztuki* jest budowla tatrzańska. Wymierza jej harmonię, ukazuje ornamentykę, rzuca wreszcie myśl, że chałupa ta jest prawdopodobnie ocalonym dokumentem piastowskiej, średniowiecznej architektury polskiej.

Na kartach następnych książki mamy malarskie portrety mieszkańców tej chałupy: „Zdaje się, że tu przeszła jakaś nawałnica ludów, ras rozmaitych, zostawiając dotąd odradzające się pierwiastki najróżnorodniejszych odrębności indywidualnych, występujące z całą siłą i czystością swych cech szczególnych, lub też zmieszane w sposób najsprzeczniejszy i najdziwniejszy. Na tle dwóch krańcowych typów: jednego o wąskiej długiej twarzy, garbatym nosie, wielkiem czole, rysach wykończonych, skórze delikatnej i długich czarnych włosach; dru-

giego o twarzy okrągłej, wydatnych policzkach, płowym włosie i jasnych oczach — na tle tem przesuwają się cała galeryja charakterów ludzkich, od wykwintnego piękna, do karykaturalnej brzydoty. Tu, potrząsając długimi, ociekłymi masłem, włosami, przechodzi prawdziwy Apasz amerykański, spalony od słońca, ze spojrzeniem odważnym i dzikiem, z ustami surowo zaciśniętymi. Tam ta sama twarz wyciąga się w garbaty nos owcy, patrzy sennemi oczyma i kurczy płaczliwie usta. Tu wygolony markiz wersalski, z wykwintnym uśmiechem, z ruchami, pełnymi eleganckiej powagi, dumy i grzeczności, z pewnym odcieniem pobłażliwości uchyla kapelusza. Tam znowu opasły prałat rozmawia z jakimiś figurami drewnianymi gotyckich świątyń, które, zdaje się, że tylko co zeszyły ze średniowiecznego ołtarza. Tu senny i smutny orzeł, z tęskniami oczyma, siedzi zadumany, obok wesołej i sprytnej twarzy polskiego chłopca, który z pod płowego wosa śmieje się z jakiejś poczwary, na której zdaje się skupiać złość, zawiść i podejrzliwość z całego Podhala. Tam twarz mędrca z ogromnem sklepieniem czaszki, okolona długim, białym włosiem patrzy łagodnie i rozumnie — ówdzie ruszają się karykatury, mogące ozdabiać rączki lasek i parasoli. Twarze te, rzeźbione są z usilnością wydobywania cech indywidualnych, która przypomina dążenia średniowiecznej sztuki”.

Po tym kapitalnym opisie, który jest jakby ożywioną słowem kartą antropologii tatrzańskiej, następuje niemniej świetny opis fizycznych cech górala, jego giętkości, siły, zwinności; jeszcze dalej doskonale przemyślana charakterystyka psychologiczna górala. Pierwszy bodaj w literaturze przekazuje postrzeżenia prof. Chałubińskiego i swoje własne, mało na ogół idealizując naturę górala. Zwraca, torem Buckle'a, uwagę na zależność charakteru ludzi tutejszych od przyrodzonych warunków, w znakomity, przejrzysty sposób wiążąc w jedną „kompozycyjną całość” władze duchowe górala z ogromem geologicznym, który go od dzieciństwa otacza; daje kilkanaście niesłychanie lapidarnych form i określeń, obrzuca to zajmującymi migawkami obyczajowemi, — tak, że pod koniec wywodu staje przed nami naprawdę żywy typ człowieka ze wszech miar zajmującego, godne-

go uwagi i opieki. Mamy tu skreślony zakres jego uzdolnień, jego filozofię, jego namiętności, jego świat wierzeń, jego stosunek do Kościoła, studium jego języka, jego geniuszu twórczego.

Następnie wchodzimy w świat tradycji góralskiej. Życie juhasów na halach, jedyna żywa pozostałość z dawnego bytu, tak absolutnie niepodobnego do życia w dolinach Polski. Łowiectwo, nieukrócony żywioł natury góralskiej. Szczałkowe ślady zbójnictwa. Ich bard — Sabała.

Wreszcie same góry. Opis taternickiej wędrowki do Morskiego oka. Nieprzebrane mnóstwo krajobrazów, które malarskie tylko mogło oko zapamiętać, a które znowu przez zmieszane dozy talentów swych lepiej zapewne oddał słowem, niżby mógł wyrazić pędzlem na płótnie. Niektóre z kilkunastowierszowych opisów powinny się znaleźć w wypisach prozy polskiej.

„Na przełęczy” nie podaje tych kolejnych etapów badania Tatr i ludzi w takim porządku, w jakim przed chwilą były one wyszczególnione. Nie podaje ich w porządku wogóle. Książka ta, jak zresztą wszystkie książki Witkiewicza, nie znają systematycznego układu. Każda poszczególna myśl Witkiewicza wykazuje znamiona długotrwałego przetrawiania: jest tak jasna, jak jasnym może być tylko ostateczne porozumienie z sobą samym; ale on sam jest zbyt wartkiem, zbyt namiętym laboratoryum idei, zanadto szczodrobliwym też wobec czytelnika, by go stać było na dobrze ułożony systemat, by mógł zdobyć się na architektoniczny plan książki. Więc zacznie zrazu mówić o fizyczności górala, w tej samej chwili uderzy go *à propos* przypomnienie o jakimś warszawiaku, potem znowu jakaś wycieczka w góry, Sabała, znowu sprawa fizycznych właściwości górala, dr. Chałubiński, starzy miłośnicy Tatr, pejzaż. Jeden i ten sam wątek rwie się raz po raz — i raz po raz wraca. Budowa książek Witkiewicza zachowuje jeszcze w pełni charakter gawęd szlacheckich z pierwszej połowy XIX stulecia. Ale to ma też swój wdzięk.

W tym samym okresie czasu, kiedy pisał „Na przełęczy” i długie lata potem, kreśli w odstępach czasu nowele góralskie. Wyszły one w roku 1907 w książce p. n.: „Z Tatr”. Są one in-

tegralnym ciągiem „Na przełęczy” i nie mogą być inaczej rozpatrywane, jak tylko w łączności z tamtą pierwszą tatrzańską książką.

Nowele Witkiewicza mają swój własny charakter, niepodobny do utartego typu nowelistyki. Jak w książkach jego, poświęconych jakiemuś jednemu przedmiotowi, czy to w „Na przełęczy”, czy w późniejszym „Juliuszu Kossaku”, czy „Matejce”, tak i w każdej z tych nowel brak jednolitej kompozycji. W nowelach nie działo się to bez świadomego autorskiego zamiaru. Witkiewicz brał bodaj za temat ludzi i zdarzenia prawdziwe. Dodatek fikcji jest tu minimalny, zdaje się. Autor nie ma intencji piętrzyć przed nami ani intryg, ani drabiny efektów. Pragnie dać wizerunek duszy, tak jakby dawał portret twarzy, gdyby tę samą ideę wypowiadał środkami malarskimi. Zamiar ów zawadza co chwila o jakąś uwagę, postrzeżenie syntetyczne, o pierwiastek moralistyki, socjologii, czy teoretycznej psychologii. Witkiewicz nie waha się wejść na pole takiej dygresji. Mamy więc znów pewnego rodzaju gawędę, o typie staroświeckiej formy, acz z nowożytnym nawskroś nieraz zagadnieniem treści.

Powiedzieliśmy przed chwilą, że tym razem taka antykonstrukcja utworów wpływała ze świadomego zamiaru autora. Inna jednak rzecz, czy zamiar ów nie wypłynął z musu. W duchowości Witkiewicza tkwiło splątanie kilku wokacji intelektualnych: malarza, poety, logika, agitatora. Splątanie tego rodzaju, że w węzle tym każdy z poszczególnych talentów krępował i przygniatał inne. Jego zapęd malarski trzymany był na wodzy przez logikę, która mu nasuwała zbyt wiele autokrytycyzmu, by dar plastyczny mógł się swobodnie rozszumieć. Na straży niewątpliwego uczucia poetyckiego stała kontrola oka malarskiego, która mu nie pozwalała powiedzieć nic więcej ponadto, co źrenica może wychwytać z rzeczywistości, trzymała jego duszę za poły, gdy dusza chciała przestąpić poza ten próg niezbędny dla poezji: w stopień wyobraźni. Doskonale zorganizowana władza logiki, dar formułowania jasnej myśli popędzane były temperamentem agitatora czynu i boju, który to temperament witkiewiczowską ścisłość myślenia pchał w przesadę, w przeja-

skrawioną prawdę, by była bardziej widoczną, bardziej słyszalną, prędzej zwycięską.

Można też przypuszczać, że na jakimś cząstkowym nieporozumieniu, na przestawieniu talentów oparta była droga artystyczna Witkiewicza. Kto wie, czy kilkunastoletnia jego praca malarska, poświęcenie się sztuce plastycznej nie było skośnym wpływem z poetyckiej, najgłębszej w nim, inteligencji. Czuł słusznie, że stworzony jest do służby sztuce — i przypuszczał, że konkretną kategorią tej służby powinno być malarstwo. Tymczasem obrazy jego — wbrew nawet głośzonym przezeń zasadom i teoryom — bardzo często mają pierwiastek właśnie literacki. Silniejszym by może nieraz odezwały się echem, gdyby je ująć w kształt pisanego utworu. Znadto wyjątkową był indywidualnością, a dość w nim było — wprost powiedzmy — zarysu genialności, przy imponującej ambicji, by i w tej dziedzinie nie dojść do znacznych wyników. Ale rychło nad twórcą bierze w nim górę analityk, staje się autorem „Sztuki i krytyki u nas”. Podejmuje nową dziedzinę pracy, by służyć malarstwu, jako swojej dotychczasowej sferze twórczości, sam może nie wiedząc, że teraz dopiero wchodzi na właściwszą dla siebie linię rozwoju. Dotychczas jednak nie wychodzi z tego typu pisanego, który jest czystą literaturą. Może czuje jednak, że przy tym rodzaju, przy bezwzględnej prozie, pozostaje w nim jakiś nieuzewnętrzniony pierwiastek. To potrzeba poezji. Pobratanie się z Tatrami ośmiela w nim ten niewyzwolony dotychczas żywioł. „Na przełęczy” posiada już pęd poetycki, ten, na jaki stać było Witkiewicza, ten pęd, korygowany przez pozytywistę. Oto jest nowe dobrodziejstwo, jakie mu dało Zakopane.

Ale „Na przełęczy” jest jeszcze poezją malarza. Opisuje to, co widzi jego oko: naturę i sztukę. Jest jeszcze, w dalszym ciągu, pejzażystą i teoretykiem sztuki, jest też, ku radości swego temperamentu — agitator nową sztuką, dostrzeżonej w architekturze i zdobnictwie góralskim. Na drugim planie pozostaje poezja obyczajowości, tradycji, oraz spostrzeżenia psychologiczne. Te zresztą są raczej naukowe.

Dopiero w nowelach występuje w pełni poezya duchowych wnętrz ludzkich. Można powiedzieć, że po raz pierwszy w odczuwaniach Witkiewicza wynurza się człowiek.

W epoce malarskiej, potem w epoce *Wędrowca* człowiek jakby nie istniał dla Witkiewicza. Zajmował go, jako suma światła, cieni i „barw lokalnych”, łamiących się na jego twarzy. Absolut sztuki pokrywał sobą tę jakąś niewiadomą, która się nazywa *duszą*. Można powiedzieć, że ton krytyk Witkiewicza, ton bezwzględny, sprawę sztuki tylko znający, nie widział ludzi w artystach. Nie obchodzili go. Atmosfera pracowni, debat artystycznych, potrzeba wyrąbywania dróg dla *idei* usuwała mu za kulisy jego zainteresowań to, co później stanie się taką siłą jego twórczości: poetyckie duchoznawstwo. Dopiero w Zakopanem, w samotniczym skupieniu, w przymusowym odaleniu się od nerwowej płataniny zagadnień artystycznych, zaczyna zauważać, że istnieje to, o czym czasem słyszał, o czym teoretycznie wiedział: królewsko bogaty świat wnętrza ludzkiego. Zrazu interesuje go w tym świecie tylko to, co jest gotowem dziełem sztuki; takim gotowem dziełem sztuki był np. Sabała. Dostrzegawczy, wiecznie pytaniem, żadnem odpowiedzi, naładowany aparat intelektualny Witkiewicza nie poprzestaje jednak na tem. Wielkimi swemi oczyma sonduje każdego poznanego człowieka — i przekonywa się, że w najniepozorniejszych nawet typach zaklęta jest jakaś głębokość.

Tę prawdę zdobytą wypowiada kolejno w każdej z nowel. Każda z nich jest historią niepozornej duszy — i rozwarciem zasłony, która zakrywała głębokie perspektywy.

Więc oto *Wojtek Gandara*, biedny oszalały góral, któremu się widzi, że jest właścicielem obszernych włości, a on jest na prawdę nędzarzem, wyrobnikiem. Łachman socyalny, marznący zimą w chlewikach, uparcie marznący o tem, jak się kiedyś zagospodaruje na swych dziedzicznych obszarach w Murzasihlu (wieś podhalańska). „Wojtek nigdy nie żebrze. Jeżeli przyjmuje szóstkę na tytoń, zawsze prosi, żeby ją zapisać, że jak dobra swe sprzeda, zwróci. Nie chce brać nic za darmo i nie lubi wyglądać, jak żebrak. Swoje biedne przyodziewki lata skrzętnie i za uzbierane dudki kupuje sobie tak dobre portki i kapelusze,

jak najhubszy gazda; owszem, nie byle z kim się mierzy; ma takie poczucie elegancyi, taką miarę tego, co i jak należy na portkach, lub cuze wyszyć, że z krawcem dobrze i długo uradzi, nim przyjmie nowy przyodziewek. Słowem wrócić mu gazdostwo w Murzasihlu—będzie z niego rzeczywisty i dobry gazda—ale to gazdostwo pozostanie na zawsze w wyobraźni Wojtka. Komuś się zdaje, że on dziad bezdomny, a on tymczasem orze, sieje, las rąbie, buduje, chodzi po jarmarkach, sprzedaje, kupuje, bogaci się — jest tęgim, zamożnym i potrzebnym ludziom chłopem. Złudzenie zresztą tak powszechne! Wszyscy ludzie mają takie gazdostwa na Murzasihlu; wszyscy żyją nie tem, co mają, tylko tem, w co wierzą, że mieć mogą. Nie tylko jednostki, narody całe żyją taką myślą o idealnej ojczyźnie... Ktoś, znający dobrze Wojtka Gandarę, nazwał to gandaryzmem. Bez gandaryzmu ludzkość by nie wyżyła". — Obok Wojtka Gandary, druga postać z gór: *Zośka Galicka* i jej przybrana córka Margośka. Typ podobny do tej bohaterki z arcydzieła Dygasińskiego: „Margiela i Margielka". Ta sama cichość duszy, potulność, to samo zapracowanie się dla innych. Pełną poezyi jest linia jej serca, którego nie potrafią zbrudzić ani źli ludzie, ani kryminali, dokąd się dostaje przez chciwość, przez nikczemność swojego gazdy. Próba skreślenia postaci, któraby była niewiedzącą o sobie świętością. — Tuż obok pełen plastyki *Jędrək Cajka*, uosobienie góralskiego temperamentu, skondensowanie w jednym człowieku nadmiaru sił fizycznych tej rasy, hodowanej przez naturę do nadludzkich wysiłków. Jego los życiowy — ślepotą i utratą rąk przy dynamitowym rozsadzaniu skał; dożywotnie więzienie tego ludzkiego rysia w klatce swego kalectwa — i niespodziewany, świetnie pod względem psychologicznym postawiony wynik niedoli: budzenie się duszy w tem pięknem, olśniewającym otoczeniu, wydobywanie ze swego wnętrza uczuciowego i umysłowego metafizyki i świata moralności. — Wreszcie jedna z pierwszych chronologicznie nowel Witkiewicza: „Na Umarcie". Zapatrzenie się jeszcze w świat sabałowych Tatr, w świat zbójników, rozkochanie się w tych czasach, kiedy nieokiełznana tężyźnia Jędrków Cajoń miała jeszcze ujście w wolnem, jeśli kto chce, to nawet: romantycznym życiu wiecznych z niedźwie-

dziami i władzą państwową zapaśników. Takim przez trzydzieści lat był zbójnik Samek. Aż przychodzi nań chwila, kiedy uczuwa, że nie starczy mu sił na dalsze życie, stawiane co chwila w natężenie wielkoludzkie. Schodzi w doliny, by w chałupie ojcowskiej zemrzeć. I tu obraz nędzy duchowej orła, przykutego do ściany, Farbami Jana Jakóba Rousseau malowane przeciwstawienie natury i cywilizcyi, z wyraźną inklinacją ku pierwszej, duszenie się fizyczne i moralne, płuc i duszy, przywykłej do nieobjętego powietrza hal — w zakończeniu uroczysty obraz śmierci poetycznego zbója — wpatrzonego w ukochane szczyty.

Oto szereg figur i opowiadań, któreby należało wszyć w sceneryę „Na przełęczy”, by stanowiły pełniejszą jeszcze całość studium. Charakter nowelistyczny nie wadziłby, bo, jak było mówione powyżej, charakter ten skojarzony jest z tym samym medytatorskim pierwiastkiem, który cechuje i pierwszą tatrzańską książkę Witkiewicza. Najmniej go w „Na umarcie”. Tutaj Witkiewicz pozostaje jeszcze w łożysku wpływów Sabały, tego wielkiego artysty, który opowiadania swoje układał nader konstrukcyjnie, z poczuciem harmonii tem samem, które Witkiewicz tak trafnie wyśledził w architekturze chałupy góralskiej. Najwięcej publicystyczną, à thèse filozoficzną, moralistyczną jest *Zośka Galicka*. Ku intencjom artystycznym, już własnym Witkiewicza, przechyla się znowu *Jędrzek Cajka*. Niektóre sceny, niektóre momenty żywiołowy mają pęd wielkiej belletrystyki. Z doskonałym odczuciem przeprowadzony też jest proces pasowania się duszy z fizycznością w ubezwładnionym od nie szczęścia człowieku.

Witkiewicz nie przechodzi do historii literatury, jako beletrysta; zbędną więc może rzeczą byłoby wyszukiwanie mu tutaj miejsca, charakteryzowanie ogólne tego łamu jego twórczości. Natomiast nieobojętą liczbą kulturalną jest inicjatywa, jaką literaturze i sztuce polskiej nadało „Na przełęczy” i nowele: „Z Tatr”.

Świat tatrzański wszedł na warsztat kultury polskiej w czasach, znacznie wyprzedzających Witkiewicza. Pisze o nim Staszic, korzysta zeń Goszczyński, przeczuwa jego symbol Słowacki w ułamkach dramatycznych „Beniowskiego” i w „Zawiszy

Czarnym", zużywa jego piękno Mickiewicz w „Konfederatach barskich”. Wielkim misjonarzem Tatr staje się dr. Chałubiński. Odkrywa je niejako. Ale pierwszy dopiero Witkiewicz ujmuje w systemat, jeśli się tak wyrazić można, uczuciowe entuzjazmy Polaków dla tej granitowej granicy ojczyzny. Po nim dopiero powstaje ten prąd, który się nazwać już godzi „szkołą tatrzańską w literaturze i sztuce polskiej”. Po nim powstaje liryka pejzażowa Franciszka Nowickiego, Tetmajera, Kasprowicza, Micińskiego i tylu, tylu innych, po nim Sienkiewicz z góralskich pomników słownictwa i składni zaczerpnie materyał do języka Polski w „Krzyżakach”, po nim Matlakowski przeprowadzi studia nad sztuką i zdobnictwem na Podhalu, po nim góry nasze wejdą do muzyki w „Morskiem Oku” Noskowskiego, w motywach Żeleńskiego i w. i., po nim rozejdzie się po kraju tysiące krajobrazów górskich, prześliczne notatki taternicze Mieczysława Karłowicza, aż wreszcie Kazimierz Tetmajer zapisze legendarny świat Tatr swoimi wspaniałymi rapsodami: „Na skalnem Podhalu” i „Janosikiem Nędzą Litmanowskim”. — A tuż obok niego, z ludu i z rasy tych ludzi, których tak dojmująco ujął Witkiewicz — powstaną indywidualności tak silne, zajmujące i świeże, jak Orkan, Jedlicz. Nie wspominam o społecznych konsekwencyach, wyrosłych na inicjatywie „Przełęcz”, na entuzjazmie i znajomości Tatr; zatrzymuję się tylko na tem naprawdę silnem, agitacyjnem pchnięciu, jakie dla „szkoły tatrzańskiej” uczyniły książki Witkiewicza. W nich to, jakby w zawiązku fizyologicznym, była już gotowa cała szkoła: była kwintesencya obrazowego piękna kraju, było sformułowanie swoistego wdzięku sztuki tutejszej chłopskiej, było odczucie wielkości w życiu, zanotowanie legend, ukazanie rasowych, godnych uwagi pierwiastków w góralu. Z tego fizyologicznego zawiązku rozrosła się poezya i sztuka od poezyi—włóczęgi po górach, roznieczonej w dziesiątkach tysięcy turystów, aż po poezję „Skalnego Podhala” — chluby naszego piśmiennictwa u zarania XX stulecia.

(D. N.).

Adam Grzymała-Siedlecki.

RUDYARD KIPLING¹⁾.



organiczny pomiędzy polityką, dążącą do „większej Brytanii”, a całą działalnością poety, sławiącego energię, marzenie i cnotę. „Olbrzymi hipodrom, gdzie igrzyska odbywały się — pisze Bordeaux — był wypełniony dziesięcioletnim tłumem. Zwycięzców witano okrzykami, które urosły do szału i zachwyty po ukazaniu się marynarzów. Duma bezmierna przeżyła ten tłum, miotła nim przez cały czas defilady orkiestr wojskowych, czer-

(Dokończenie.)

¹⁾ Patrz *Stinks* Nr. II—III 1915.

wono umundurowanej gwardyi królewskiej w olbrzymich czapach włochatych lub Szkotów w krótkich spódniczkach i z gołymi nogami. Odgłosy kobzy zlewały się w umyśle moim z obrazami krajów i legend, pełnych melancholii, ze wspomnieniami z Walter Scott'a. A przeraźliwe piszczalki, górujące nad werblem bębennym, pomimo jego siły, naciągnęły mi nerwy, udzieliły swego niepokoju i niecierpliwości — do ruchu i do czynu. To samo wrażenie wywiera poezya Kiplinga: przemocą stawia nas na nogi i krzyczy nam koło uszu, że wspaniałym może być tylko czyn".

Tylko czyn. W wywyższeniu pierwiastka czynnego natury ludzkiej, w wyłuskaniu istoty nowożytnej terażniejszości z jej powłoki bezwładu i apatii, w rozeźwiltowaniu jednostki na korzyść ogółu — państwa angielskiego — wdzięczne społeczeństwo dostrzegło czyn — poetycki tylko, lecz równorzędny z narodowym, do którego zażrzewa i który wielbi przy pomocy słowa tak żywego, jędrnego i realistycznego, że, gdy ustąpi początkowe oszołomienie, czy też przerażenie czytelnika, mimowoli przychodzą na myśl porównania z wielkiej poezyi angielskiej — z czasów Szekspira. Więc nie w pięknem opowiadaniu o treści egzotycznej, lecz w silnych poematach o dążnościach imperyalizmu leży dla rodaków Kiplinga punkt ciężkości jego dzieła. Francuzi robili mu nieraz zarzut, że to sławienie militującej żywotności przeradza się prawie w kult siły¹⁾. Natomiast porywy, pełne liryzmu, z jakim Kipling mówi o rozproszonych po kuli ziemskiej synach Anglii, których tęskne i rozmiłowane oczy w stronę ojczyzny zwracają się, ta mistyczna emocya, której nie brak w poematach jego, wygładzała nadwreżone z krytyką francuską stosunki, — i udobruchani Francuzi z zachwytem mówią dzisiaj o wojowniczym poecie. Coprawda czasy są po temu.

Już wtedy właśnie, kiedy „wśród szczęku oręża zamilkły muzy", ukazało się wspaniałe wydanie „Śpiewu Anglików"²⁾,

¹⁾ „Revue internationale de l'enseignement" — avril 1915 — artykuł p. Charles Cestre.

²⁾ A song of the English by Rudyard Kipling with illustrations by W. Heath Robinson.

które właściwiej zatytułowane być winno, jako „hymny angielskie”. Grzmiąca i bohaterska, a czasem tragiczna muza Kiplinga (najbardziej zbliżona do Kaliopy) spotkała się na kartach tej książki z talentem ilustratorskim W. H. Robinsona, który rozświetlił całym szeregiem przepięknych, alegorycznych, czasem nawet do symbolu wznoszących się postaci kobiecych, tło tej syntezy życia angielskiego. Od pierwszej karty unosi się ku nam trochę apodyktyczny, lecz apostołskim umiłowaniem kraju natchniony wskaźnik obowiązków narodowych Anglika. Choć kraj jego piękny i obfite dziedzictwa, chociaż Opatrzność zakreśliła dlań drogę do krańców świata, naród powinien być korny, w radości zachowywać umiarkowanie, a zwątpieniu nie poddawać się nawet w chwilach niedoli: bo choć grzechy władców i znieprawienie własne pogrążyć go mogą w hańbie i zbrukać rąb jego szaty, chociaż błędnie potykać się będzie na drogach, to wina za to spadnie na złych doradców, — a z tymi Bóg się policzy. Naród niech trzyma się wiary, przekazanej przez ojców, niech unika chimer mądrych lub przestarzałych — one prowadzą do nierządu, tak jak brak wspólności w wysiłku zawiedzie do niewoli: „a od dzieci naszych niewolnych potrójnie Bóg żądać będzie”. Baczyć na prawa trzeba, w posłuszeństwie się ćwiczyć, zło z kraju usuwać, dróg szukać i brodów i u nich mosty stawiać; „zabezpieczcie własność każdego, aby zbierał tam, gdzie czynił siew. Przez pokój pomiędzy ludami waszymi świadectwo dajcie, że służymy Bogu”.

I kiedy natchniona apostrofa poety dobiegła do końca, przed oczami naszymi zaczyna się przesuwac plejada tych czynników, których współdziałanie zapewnia potęgę Brytanii. Więc naprzód symbole techniczne jej władzy nad morzem z dumą pożyteczność i humanitarność swych istnień podnoszą. Śpiewają o tem kable podmorskie z „pustyni głębokości”, tam gdzie nie ma ani dźwięku, ani światła. Za ich sprawą znika odległość i czas, one stoją na straży i na pośrednictwie pomiędzy częściami świata, zachęcają ludzi do ustalenia braterskiej jedności. Na cześć Anglii śpiewają latarnie przymorskie, one, które baczą, aby okręty angielskie płynęły bezpiecznie nie tylko w nieskończoność letnich wieczorów, kiedy gładka jest powierzchnia mo-

rza, lecz i podczas burzy na kanale, kiedy jej ryk ściera się z groźnymi porykami syren okrętowych: rzucają wtedy świetlny most na ciemną otchłań — i to jest pierwsze pozdrowienie, które Anglia śle wracającym synom.

Do szczytu ekspresyi wznosi się Kipling w następującej pieśni, w „hymnie śmierci”: ponure rozmyślenia osnute są na tragizmie patryotycznym doli Anglików. Przecież świat cały usiany ich trupami i ku nim śmierć swój hymn żałobny zawodzi ze wszystkich zakątków ziemi: i z północy — gdzie leżą, obok skórą obitych sanek, ze wzrokiem zastygłym, skierowanym w stronę bieguna, na urwiste złomy lodowe; i z południa — gdzie z kośćmi koni poplątały się szkielety ludzkie, wybielone przez wiatr ognisty, co ze łkaniem i ze szczekiem podnosi mgły kurzu z suchych koryt rzecznych. Głos śmierci pokrzykuje i w dżungli o rozpalonych wyrwach i w zwodniczych przestrzeniach pustyni, która ludzi oszukała, głodem i pragnieniem ich domęczyła. Wszędzie rozsiane mogiły Anglików.

Kiedyś byli marzycielami i śnili sny o pięknie, żyjąc życiem śpiącym w ludnych i natłoczonych miastach. Linie dalekich horyzontów, za którymi w dół biegną drogi nieznanne, były im udręką, a do katuszy tej przyłączyły się wizye stron obcych i sny o potędze i bicz potrzeby. Aż wola, co nie była ludzką wolą, wyprowadziła ich w świat, bo i jeleni ucieka ze zwierzyńca. Z wiarą małych dzieci poszli, aby szukać nowych dróg, a gdy zabrakło żywności, kiedy wysechł ostatni źród, legli i pomarli. Pod kurhanami piasku, wśród łachmanów paproci leżą kości ludzi i znaczą drogę dla tych, co pójdą w ich ślady i także może spoczną w gościnie u śmierci. Lecz z krwi powstanie siew, a gdy ten zakwitnie kwiatem i w owoc dojrzeje, synowie zmarłych przyjdą znowu i po kościach przydrożnych odszukają to, co należy się im — w spadku.

Więcej jeszcze spanoszona i wszechwładna hula śmierci na toniach morskich, pełnych uroku i zdrady. Przecież ocean — to wielki całun, co przykrywa rozkład najbujniejszego kiedyś życia, bo to idzie zwykle na ofiarę ojczyźnie. Na tysiące lat Anglia nakarmiła morze trupami swych synów, a morze woła ich ciągle nienasycone. Przecież między falami niema ani jednej,

coby nie znaczyła śmierci Anglika. Wszystko, co mieli najlepszego, rzucili na pastwę rekinom i na przewrotność burzy. „I jeśli krew jest ceną władzy nad morzem — jęczy poeta — o, Panie, myśmy spłacili ją sownicie“.

Nigdy teraz przyplływ ku brzegom nie idzie, aby nie nioś z sobą statku do ojczyzny, i nigdy odpływ nie idzie ku morzu, aby krwią angielską piasku nie splamił i trupa nie porzucił na opuszczonem wybrzeżu. Za morze płaci się krwią — i trzeba je znowu nakarmić na lat tysiąc, bo takie przeznaczenie Anglików i w tem ich duma. Tak było dawniej, kiedy żaglowce pod falami znikają, tak jest dzisiaj, bo i potworne parowce kładą się na skalne z pod wody występy tam, gdzie błyskają blado-niebieskie światła. I skargą brzmi tryumf poety: „jeśli krwią okupić trzeba władzę nad morzem, Panie, myśmy ją drogo kupili“.

Z lamentu i ze skargi, która płynie na konieczność ofiary ludzkiej dla potęgi przyszłych pokoleń, wyłania się powoli hymn życia, potężny w swej prostocie i w zapomnieniu o tem, co mogłoby nadwątlić siły do lotu. Synowie Anglii wracają do macierzy i u drzwi, stojących otworem, zrozumieli, że ani zdrada żywiołów, ani straszniejsza jeszcze zdrada ludzi dosięgnąć ich nie może. Kiedy od smutku śmierci i od troski przyziemnej oczy matczyne odwrócą się ku tym, którzy wrócili do ogniska, to z dumą spojrzą na silnych i licznych, bogatych i oświeconych potomków swej krwi. Macierz zawoła tych, co u kolan jej stoją, aby mówili z tymi, co z za morza przybyli i w darze z sobą niosą miłość bez obietnic i nie żadną nagrody. Gdy wypowiedzieli swe nadzieje, pragnienia i bóle, wielką ekstazą wzbije się głos Anglii-matki, aby dzieci błogosławić.

W skupieniu słuchają głosu tego ludzie, co nie zwyczajnie słuchać czyichkolwiek rozkazów: ona jedna ma prawo przemawiać tak, bo przecież oni są krwią z jej krwi i kością z jej kości, nieugięci, jak byli ich ojcowie i silni, jak będą ich dzieci. Związek pomiędzy nimi trwalszy jest nad życie, i głębsza od mowy jest ich miłość, tak, że zewnętrzne oznaki są zbyteczne.

Ramię matki jest krzepkie, siły jej nie zanikły. Chociaż synów urodziła dużo, łono jej nie wyschło. Miejsce dla powracających robi, aby z braćmi swymi porozumieć się mogli szcze-

rze, patrząc oko w oko, o tem, co potrzebą jest dla dobra ich ludów i dla dumy ich rasy. Uczynią także jeden ślub: dopóki trwa związek krwi pomiędzy nimi i ojczyzną, dopóty Anglia wiedzieć będzie, że ich dobro należy do niej, a oni czuć będą, że jej siła za nimi stoi, aby w dzień wielkiego „Armageddon'u”, w ostatecznej wielkiej walce, dom ich opierał się na wspólnych siłach i aby filary nie padły.

Oni stanowią prawa, aby przez nie rządzone były kraje, a Anglia nacisku wywierać nie będzie, bo są dziećmi jej krwi i matką ją nazywają. I kiedy zwyczajem angielskim rozmówią się z bracią swoją w słowach skąpych, lecz ścisłych, powrócą do rozpoczętego dzieła — silni, uparci i niebaczni na pokusy chwilowej chwały, a wytrwali w pracy, w mądrości i potędze. Tak mają żyć ci, którzy nie są ani dziećmi, ani bogami, lecz ludźmi w świecie ludzi.

Wiarą w rodaków, nadzieją w przyszłość i miłością do ojczyzny tchnie ten „śpiew bez mistrzostwa”, jak go określił Kipling; — a jednocześnie nazwał siebie „śpiewakiem bez wartości”... Jest to jedna z licencji mistrzowskich, których nie weźmie mu za złe obcy, a tem mniej rodak jego, do czynu podniecany epickim tonem poezyi i tym sposobem myślenia starożytnych o potrzebie ofiar dla czasów przyszłych, o ścisłości związku pomiędzy obywatelem i jego krajem, pomiędzy pokoleniem dzisiejszem, a temi, co przyjdą.

Błogosławiony jest wpływ poetów na myśl narodu.

August Popławski.

VITA - SOMNIUM GRAVE...

Idziemy razem przez ogromną puszcze,
której się stopa nie tknęła niczyja,
za mną w trop czołga się przestrachu żmija
i bladym kręgiem serce mi spowija:
wokół w potwornych kształtach drzemią kuszcze...

Jak wielki owad, nadeptany nogą,
serce się we mnie wznosi i opada — —
Gdzieś za masztami drzew szłocha dryada:
w liściach ukryła twarz białą i biada
melodyą dziwnie piskliwą, złowrogą.

Idę powoli wązką, nagą miedzą
w coraz ciemniejszą niemą, martwą głuszę.
Wracać nie wolno już, dalej iść muszę — —
Wśród pni paproci sterczą pióropusze,
popod którymi cienie rzędem siedzą.

Ty ze mną idziesz ... cicha i umarta:
w duszy swej wlokę ciężką trumnę twoją,
już mi nie jesteś bolem, lecz ostoją,
gdzie kwiaty, więdnąc, tchem śmiertelnym poją —
jak dłoń dusząca, kładąc się wkrag gardła.

W głębinach duszy od wieków cię niosę,
jak Przeznaczenie może, lub jak winę,
której nie zmażę niczem, z której zginę.
Wracać nie mogę, a już całe sine,
jak głąb otchłani, stopy moje bosc...

Puszcza mnie chwytą, by w stalowe członki,
szlak ciasnej drogi wciąż ścieśnia i zwęża.
Darmo mi ramię wysiłek rozpręża:
pęka, jak brzeszczot kruchego oręża
i puszcza bierze mnie w stalowe członki.

Gałęzie, w sploty skręcone i kłęby,
sieką po twarzy mej, aż krew z niej ścieka,
parzących liści zielonkawa rzeka
chłonie i dławi, a tam dalej czeka
puszczy mocarny ród: olbrzymie dęby...

Ciemności plachta otula mnie gruba — —
Nie wiem, czy drogą idę, czy bezdrożem,
nie wiem, czy nad mem, skoro padnę, łożem
promień zakwitnie niemym, jasnym stróżem,
czy mi powieki na sen zamknie z g u b a. — —

Ach! dęby, dęby! — — szum ich mnie obala,
Gdyby orkanem rychoczące płuca,
wydziera członki ze stawów i rzuca,
wdziera się w serce i na śmierć rozsmuca,
jak wielka fala, wielka czarna fala.

Z rykiem się na dół ciska tłum gałęzi
świszcząc dokoła zębatem koliskiem,
a każda na mnie pocisk za pociskiem
miota i włóknem owija mnie ślizkiem,
niby pętlicą i na miejscu więzi.

Ha! dęby, dęby... Szum, jakby gardziele
 wód się przerwały i tu biegły, ku mnie,
 w olbrzymiej, wściekłej szaleństwa kolumnie — —
 Już tu są! Ryków i piorunów tłum mnie
 ogarnia zewsząd, topiąc kły w mem ciele...

— Ty moja smętna, ty żałosna moja,
 uśpiona wiecznym snem na dnie mej duszy,
 ciebie nie dojdzie, ani nie poruszy
 dzika melodia krwawych pióropuszy,
 przy tobie cisza, samotność, ostoja.

Staby-m i znużon— Z rąk wypada zbroja
 srebrna, od której w przestrzeń biły blaski,
 na kamień twardy i kruszy się w trzaski...
 Śmierć we mnie godzi, lecz nie krzyczę łaski,
 moja żałosna, o przesmętna moja!

Przy tobie cisza, samotność, ostoja,
 życie bez życia, źródło w kryształach ściętych,
 świat wielkich oczu, w głąb duszy coñięty,
 blade w przepaściach zbiera dyamenty — —
 O, smętna moja! O, żałosna moja!

A tam za barki orkan mnie rozjadł
 porwał i rzucił na skrzydła olbrzymie,
 zmieszał z powietrzem i człowieka imię,
 jak świstek przedarł. W chmur kurzących dymie
 nakształt księżycy tkwiłem twarzy zbladłej...

Teraz ryk gromów, świst wichrów, huragan
 u stóp twych przyklął i w martwe oblicze
 kornie spogląda smętne, tajemnicze,
 spogląda z lękiem i zcicha skowycze,
 jak rab, przed chwilą batami osmagan...

— Czas w dalszą drogę. Chodźmy razem znów
w świat, mającący przed nami, daleki,
ty we mnie, z tobą ja przez wieków wieki,
naksztalt łkającej, przerażonej rzeki,
pchniętej przemocą w głąb wązkiego rowu.

Z gąszczu, z zarośli, poplątanych z sobą,
niby olbrzymów ręką tkanych sieci,
wchodzim w polanę. Słońce, co tu świeci,
oświeca groby. Ni ptak nie przeleci,
ni kwiat nie westchnie: wszystko tu żałobą.

Dokoła nieme, osłupiałe drzewa,
brodate masą mchu karły milczące,
ciężkie powietrze tu, a blade słońce,
niby wygnaniec błąka się po łące
i wiadra mętnej krwi po niej rozlewa.

Każda powietrza cząstka piecze, parzy,
wpija się w skórę, wchodzi w krew i truje,
gęsty, duszący pył po niem się snuje,
jaki rozwłóczą w proch uschnięte tuje
po grobach starych, zmurszałych cmentarzy.

Larum tu dzwoni bezimienna trwoga,
czeluć przeraża bez brzegu i bez dna —
Słońce! a jednak noc tu, noc bezgwiezdna — —
Pustką stojąca, głucha sień zajezdna,
skąd dawno uszła wszelka ludzka noga.

Bogusław Butrymowicz.

ŻYWI.

...wiem już, czemu trzeba jęku
I krwi — i widzieć, jak z lwem się kto bije,
Albo na ostrze piersią paść otwartą?
By nie zapomnieć, żeś żyw.

...tyle warto

To wszystko.

Norwid.



iedy idea zatęskniła do czynu, wielu z nich porzuciło zamki swoje i poszło zanurzyć ręce we krwi. Odwagi dodawała im może myśl, że nie ujdą z życiem. — Ci bowiem, co wrócili, nie zastali już wznoszonych kiedyś w najtrwalszej pracy myśli, w najgłębszem natchnieniu i woli, pałaców duszy.

Wtedy odwrócili oczy od zwalisk i rozpierzchli się po różnych miejscach ziemi, o kłęsce swojej milcząc i czekając na nowy dzień.

Ten, który zamieszkał w przytułku, ukrywał się, jak przestępca. Z nim razem mieszkał też mały chłopiec, który sprzedawał dawniej na ulicy czerwone książeczki. Właściciel zamku spotkał go zziębniętego i płaczącego w owym pamiętnym dniu

swojej kłęski. Chłopiec płakał, bo nie mógł nic sprzedać. Nie wiedział, że książeczki trzeba trzymać w rękę i głośno wołać tytuł. Właściciel zamku zabrał go wtedy ze sobą i odtąd zawsze byli razem.

Chłopiec nieraz zapytywał, co naprawdę stało się z tym zamkiem, który podobno zawalił się w owym dniu właśnie, kiedy się po raz pierwszy ujrzeli.

Właściciel zamku rozglądał się po barłogach, na których leniwie i nieprzystojnie leżeli półnaczy nędzarze, i mówił, że zapewne przyczyną zawalenia się zamku była lekkomyślna miłość jego dla tych wydziedziczonych. „Przecież nie znałeś ich jeszcze wtedy”, tłumaczył chłopiec. „Więc może dlatego właśnie ich kochałem”, odrzekł cicho właściciel zamku.

— Powiedz mi jeszcze raz, czy to prawda, że zamku twojego nie było widać z ulicy?

— Tak, to prawda.

Chłopiec uśmiechnął się pobłaźliwie, ale nic nie rzekł, by nie zasmucać przyjaciela. Jednakże był już za duży na to, aby wierzyć w takie legendy.

Po pewnym czasie chłopiec uprzykrzył sobie nędzny przytułek i towarzystwo smutnego człowieka. Zapragnął żyć własnym życiem. Stał się więc miły i serdeczny dla opiekuna, ponieważ zamierzał go opuścić.

— Jakże tobie odpłacę za te lata dobroci? — pytał. — Jestem młody i lekkomyślny. Czemu tak źle umieściłeś swoje uczucia? Muszę odejść.

Właściciel zwałonego zamku pogodził się z tem rozstaniem.

— Nie chcę ci zawiązywać życia — odrzekł. — Odejdź. Marzyłem wprawdzie, że ty pomożesz mi odbudować zamek. Ale to mniejsza. W tym przytułku nie jest mi znowu tak źle...

Chłopiec odszedł, marząc, że zostanie żołnierzem.

Kiedy od zawalenia się zamku upłynęło blisko lat dziesięć, murami przytułku zatrzęsły pioruny, przelatujące świat.

Właściciel zamku pomyślał: oto nadeszła chwila. Podłożył ogień pod mury przytułku i wyszedł na miasto, kierując się częstym łoskotem piorunów.

Idąc, zatrzymał się na tem miejscu, gdzie stał niegdyś jego zamek. Na zwaliskach zostały przesłiczne, dzikie kwiaty przebaczenia.

Ukląkł przeto, jak klęka się na grobie, który przestał już krwawić serce, a jeszcze napełnia oczy cichemi łzami ukojenia i przymierza.

Między zaroślami kwiatów odnalazł szczelinę i zawalone gruzem stopnie wgłąb. Niepewnie zeszedł do podziemi — i ujrzał ze zdziwieniem, że sklepienia trzymają się jeszcze, sklepienia grobów. Że przecież nie wszystko runęło.

W jednej trumnie znalazł klejnot rodowy. W prochu wały się zbroje i miecz po antenatach.

Pomyślał: jeżeli nawet traci się zamek, to przecież zawsze pozostają groby.

Mając miecz, zdam się jeszcze na to, aby walczyć.

Został żołnierzem i miał za komendanta owego niegdyś zziębniętego na mrozie chłopczyka, który nie umiał sprzedawać czerwonych książeczek.

Młody wódz był nieustraszony i okrutny. Rozkazy padały z jego ust, jak zimne błyskawice. W bój leciał pierwszy na swym koniu, cały w połyskach i ogniach, miecąc w głębinę śmierci setki ludzi. Śmiał się z litości tak samo, jak z niebezpieczeństwa. Żołnierze wielbili go, żyjąc, i ginęli za niego, mlecznem wejrzeniem konania goniąc jego postać groźną i cudną archanioła.

Odnalezienie go tutaj sprawiło właścicielowi zamku radość krótką i gorzką.

Wiedział bowiem o tej garstce wybranych, o tych młodych herosach, że walczą tak nie z wrogiem tylko, ale z leniwemi, otrutemi rozpaczą sercami swoich. Że tylko oni za cały naród swój podnieśli słowo życia, sobą dali świadectwo jego istnieniu. Że się zaparli w sobie wiary w przeznaczone braterstwo ludów, aby jeden swój lud podźwignąć z prochu trumien na światło dziejów.

Przezwyciężyli w sobie wiarę, nie rozumiejąc nawet, że ta ofiara jest największa — i że zaledwie mieli prawo ją ponieść, nie obowiązek. Albowiem wiedział to i pamiętał z dnia swej klęski, że kiedy idea chce umrzeć, wówczas tęskni do czynu.

Pamiętał też z przed lat, jak pachnie jasna krew, z rany cichutko płynąca. Czerwone mroki boju były dlań czemś znajomem, ale zawsze nieznaną była mu dusza ludzka.

Przybliżał się, patrzył i zasłaniał oczy. I myślał znowu: składa się w tym boju ofiarę znacznie większą, niż życie. Ci wszyscy, młodzi i zachwyceni, są straceni już, zanim zginą. Jak ja kiedyś, opuścili zamki swoje, a może nawet świątynie — i nie będą już mogli do nich wrócić, nawet nie znajdą drogi.

Raz, gdy szedł do ataku na bagnety, poczuł instynktem jakby tworzącą się pustkę poza sobą. Nie był to lęk, tylko niejasny smutek osamotnienia, chęć powzięcia pewności, że tuż obok, że wszędzie naokoło są towarzysze i bracia.

Obrócił się i przekonał, że istotnie był w błędzie: miał ich za sobą, całą masę tych najbliższych sercu, zwartą, sprawnie naprzód idącą. Ale źle było, że ujrzał tak na mgnienie ich wszystkich oblicza — przychylone ku karabinom, z dołu mętne oczami patrzące, o chrapach z nadmiaru wojennej ochoty, z nieprzytomnego zbytku odwagi dyszących.

Nie mógł znieść tego widoku — i on, niegdyś podobno skrytobójca, zemdłał.

Minęli go bokami, jak tabun koni omija pień ściętego drzewa. Myśleli, że ranny. Ale podźwignął się prędko i biegł za nimi i zdażył jeszcze na rzeź. I mając w uszach kwik ludzi kłutych, pojmował w udręce nad siły, że ta właśnie ofiara ich jest największa.

Węszył wkoło siebie, w tej gromadzie młodych, radosnych i wierzących, groźne i nieustające niebezpieczeństwo bitwy: jej rozkosz. Wojna obudza, jak głód i miłość, uspięne mroki dusz człowieczych. Radość walki, radość zadawania ran, które nam były przeznaczone, radość siania śmierci, aby się od niej wykupić, cały ten huk ognisty i różowy szal zasłania oczom cel daleki, jedyny i ostateczny tej katowni, dna piekieł, które — o wolności marząc — stworzył człowiek.

W zwycięstwie jest smutek. Rozkosz jest tylko w bitwie.

Myślał: oto są młodzi i radośni, nie znają przerażenia, ani wahań. Poco im zamki, skoro mają namioty?

Odtąd, idąc do boju, był chmurny i marzył o śmierci. Czuł się niegodny życia, jako ten, który wątpi. Marzył o śmierci i widział z gorzkim zachwytem, jakie zniszczenie siała ta kompania rycerska, jak się biła hardo i rozpacznie. I myślał: ich przegrana byłaby zwycięstwem zła. Ale czy ich wygrana będzie zwycięstwem dobra?

— Jestem przecież pomiędzy nimi — zdumiał się. — Cemuż to mówię: oni, nie zaś: my?

Wiedział, że tam, gdzie nie poradzi już myśl człowieka, wątpliwość rozcina tylko czyn. A nic już innego zdziałać nie umiał dla sprawy, tylko umrzeć.

Jednego dnia zgubił w boju swój miecz, zabrany z grobów rodzinnych. I nawet nie starał się go odnaleźć, wydawał mu się bowiem nazbyt rycerski, za ciężki i nieprzydatny. Idąc później pobojuwiskiem, schylił się nisko i, zasłaniając dłonią oczy, podniósł z ziemi walającą się tam szablę nieprzyjacielską. — A gdy rozejrzał się dokoła, zobaczył teraz dopiero, że właściwie wszyscy oni walczą tą samą bronią, bronią wroga.

Ściskając czoło rękami, pasował się ze zgrozą podejrzenia, że wzniosła piękność umęczonego kraju rodzinnego wynika może z jego słabości. Że — silny — stanie się, jak inne silne, te, którym w walce pozostawił jednak wybór broni. Że najwaleczniejsi z ludu wezmą ze sobą w swoje marzone jutro dziejowe oręż, zabrany obcym trupom na pobojuwiskach tej wojny

A tak myśląc, szedł w nowe boje bez wytchnienia, bo straszliwa ta sprawa była jedyna dobra, jedyna nieodzowna i przeznaczona. Bez wytchnienia szukał śmierci, a widział tylko, jak towarzysze ślali się łanem wokół niego. I wzrokiem umiaramym oglądali nie swoje słońce już, tylko jego refleksy w cichych połyskach bańnetów, na miękkich wstęgach mitraljez i lufach dział.

— Tylko ty żyj — prosił młodego wodza.

Tamten uśmiechał się niebacznie.

— Nie jest ważna śmierć, tylko zwycięstwo.

— Dlatego właśnie żyj. — powtórzył. — Bo ty nie wątpisz.

Młody wódz roześmiał się znowu niebaczny i hardym śmiechem wojownika.

— To nic, jeżeli umrę, — powiedział. — W każdym razie *mnie jest więcej, aniżeli ciebie.*

I właśnie jednego dnia, gdy się wdarli do okopów długo bronionych i wyrznęli resztę opierającego się jeszcze nieprzyjaciela, — padła w szeregi wieść groźna, że wódz jest ranny ciężko i umiera.

Swojego najmilszego niegdyś chłopca znalazł pod osłoną szpitalnego namiotu. Leżał na noszach, gruby od waty i bandaży. Prawą rękę i nogę oddarte miał od kadłuba, był nieprzytomny i wkrótce miał umrzeć.

Pochylił się nad jego czarnymi ustami, coś szepczącemi. Myślał: czy to jest krew, czy noc? Nie słyszał słów. Twarz wodza krzywiła się bezradnie, jak kiedyś od cichego płaczu w dzieciństwie. Skrzydlate brwi ściągnięte były od nadmiaru męki.

Był to wysiłek bezwiedny, aby doczekać do samego końca, aby podźwignąć ten nadludzki, w udziale mu przypadły, mozół cierpienia.

— To nic, że umieram. Umierają tylko ci, którzy żyją — mówiły usta umierającego. A ciało pełniło w męce ciężką pracę konania.

Z za nagiego brzozowego gaju, skąd przez gałązki przeglądała podszyta pyłem różanym, śliwkowa chmura zachodu, odnowa zaterkotały mitraljezy.

— Żywi tylko umierają — powtarzał konający. — Tem żywi, że umrzeć mogą...

Właściciel zamku dźwignął się, by wrócić na pozycję.

Zofia Rygier-Nałkowska.



KRONIKA.

I. J. H. Fabre. 1823—1915.

Umarł znakomity przyrodnik, poeta-entomolog, szerszym kołom inteligencji naszej zupełnie prawie nieznanym, Jan Henryk Fabre. Syn ubogich włościan z Saint-Léons, od najmłodszych lat obcując z przyrodą, odczuwał ją z całą wrażliwością subtelnej duszy artysty. Dzieciństwo spędzone wśród cudownej i blizkiej mu natury, pozostało na zawsze we wspomnieniach uczonego i opromieniło niejedną złą chwilę w życiu. A tych mu ono nie szczędziło. Już jako kilkunastoletni chłopiec wyjeżdża z rodzicami do miasta i tam, zmuszony przez biedę, porzuca nauki, aby zabrać się do ciężkiej pracy zarobkowej. Jest kolejno handlarzem ulicznym, trażarzem i Bóg wie jeszcze czem, lecz każdy grosz oszczędzony obraca na książki i uczy się z taką pilnością, że kiedy zdarza się sposobność wstąpienia do szkoły w Avinionie, zdaje do niej egzamin konkursowy. W 19-ym roku

życia, po uzyskaniu dyplomu, wyjeżdża jako nauczyciel na Korsykę i tu wzbogaca swój umysł szeregiem obserwacji nad przyrodą południową. Wtedy również poznaje botanika Requieren, który zaznajamia go z rzadkimi okazami roślinnymi, dotąd Fabre'owi nieznanymi, oraz Moquin-Tandon'a, profesora z Tuluzy, naturalistę i człowieka wszechstronnej nauki. Jemu to Fabre zawdzięcza, że odszukał drogę, po której miał kroczyć do końca życia.

Przeniesiony do Avinionu, przebył tam na stanowisku nauczyciela około 20 lat. Wprawdzie umiłowanie przedmiotu zrobiło z Fabre'a dobrego docenta, jednak cała ta działalność pedagogiczna była przezeń uważana za przymus, za smutną konieczność w walce o byt. Pomimo nawału pracy szkolnej, nie przestaje oddawać się badaniom naukowym, które są jego prawdziwym powołaniem. Udaje mu się zrobić genialny wynalazek: alizarynę sztuczną, rodzaj barwnika roślinnego, mogącego wywołać zupełny przewrót w farbiarstwie. Ludzie sprytni i przedsiębiorczy potrafili praktyczniej myśl Fabre'a zużytkować, aniżeli tego był w stanie dokonać sam wynalazca, który też wraca do nauczycielstwa. Zmuszony względami materialnymi, zabiera się do pisania swych prześlicznych „Livres d'initiation“, tak bardzo przystępnych dla młodych umysłów. Pracy tej przyświeca piękna myśl wyrugowania niezrozumiałych i bezbarwnych podręczników szkolnych, które nie zachęcają ucznia, a przeciwnie, nużą go i odstręczają od nauki; każda bowiem praca, której się nie rozumie — zniechęca. Trzeba w istocie bardzo ukochać naukę, aby rozniecić zapał do niej w innych — i Fabre to właśnie potrafił.

Za protekcją inspektora szkół, Duruy'a, który umiał ocenić Fabre'a, rozpoczyna on szereg wykładów na kursach w Saint-Martial; wykłady te jedną mu uwielbienie słuchaczy i słuchaczek (Duruy był zwolennikiem emancypacji kobiet na polu nauki), niestety, na skutek intryg zawistnych kolegów i zgorzonych dewotek, oszkalowany publicznie, zmuszony jest wykładów zaniechać.

Znużony i wyczerpany przeciwnościami życia — porzuca zawód nauczycielski i osiada na stałe w cichym, zapadłym ką-

cie — Sérignan. Tu zaczyna życie, o którym marzył; zatapia się poprostu w swoim parku, żyjąc wyłącznie z ukochanymi owadami. Park ten jest, według jego wyrażenia: „laboratoryum żyjącej entomologii”. W ciszy i spokoju zaczyna pracować nad „Zapiskami entomologicznymi”, do których materyał zbierał przez całe życie i teraz, późno wprawdzie, bo w 60-ym roku życia, wydaje w odstępach paroletnich swoją 10-tomową pracę¹⁾.

Szczęściem nazwać można, jeśli nie dla niego, to dla jego geniuszu, że nie uzyskał katedry uniwersyteckiej, jak tego z pobudek materyalnych pragnął: mógłby się bowiem zatopić w dogmatach i suchej teorii, do czego działalność akademicka nieraz doprowadzić może, — kto wie, czy nie zatraciłby świeżości umysłu, żywych i oryginalnych poglądów na tajemnice nauki. Tylko w warunkach, jakie mu dało Sérignan, mógł pracować tak owocnie, tak indywidualnie, nie uznając żadnych dogmatów ustalonych. Przykładem niech służy stosunek jego do teorii Darwina. Nie zadowala się wykazaniem omyłek tegoż, ale objaśnia, z jakich to powodów popadł Darwin w błędne wodzenie.

Fabre stara się rozwiązać znaczenie starych baśni i odkryć w nich tę cząstkę prawdy, jaka się mieści nieraz w rzeczach nie do wiary, a nawet fałszywych. Analizuje więc La Fontaine'a i poddaje krytyce zdania Apolla Horus'a. Ciężka dotąd do czytania entomologia, dopiero przez Réaumur'a powołana do życia, przemienia się dzięki niemu w wykład przedziwnie zajmujący. Widzimy dokładnie wszystkie właściwości charakteru każdego stworzonka — i tego, co zamieszkuje pod ziemią, i tego, co żyje w trawie, a każde z nich ma nam coś ciekawego do powiedzenia o sobie. Konik polny np. jest zupełnie różny od tego lekkoducha z bajek i opisów, albo tajemniczy skarabeusz, którym chciał się Fabre zająć głównie w swojej eposie.

Ile skromności, ile cierpliwości ujawnia Fabre przy badaniach! Jeśli czegoś wytlómaczyć nie jest w stanie, wtedy z nadzwyczajną prostotą przyznaje, że tego nie wie. Jakież to przeciwnieństwo do tych, którzy nie będąc czegoś pewni, pod wpływem

¹⁾ Souvenirs Entomologiques—Études sur l'instinct et les moeurs des insectes.

iluzji, stawiają przypuszczenia i popełniają tyle fatalnych omyłek! Ze zdziwieniem musimy zauważyć, jak mało ludzi posiada zdolność obserwacji. Gdyby poddać badaniu drobiazgowemu wszystkie zagadki życiowe, przekonalibyśmy się, ile jest jeszcze zgoła ciemnych kwestyi wśród tych teorii, które są ogólnie uważane za ustalone.

Na tle walki z teorią ewolucyi i transformizmu nawiązuje się między Fabrem a Darwinem korespondencya, trwająca około dwóch lat. — Widać z niej, że te dwa z pozoru tak wrogie sobie umysły, żywią względem siebie zobopólnie wielkie uznanie.

Spokój absolutny i ciągłe obcowanie z przyrodą, które dla poety-przyrodnika, jakim był Fabre, stanowiło zawsze największe szczęście, pozwalające mu skupić się w sobie, pogłębić i uporządkować czynione obserwacje całego życia. Po tylu latach tułaczki dobił nareszcie do portu i znalazł warunki, o jakich zawsze marzył. Tutaj może zapomnieć o dotychczasowej, ciągłej zależności, o walce o byt — tu dopiero czuje się sobą. I teraz naprawdę zaczyna nowe życie. O ile dawniej, jako nauczyciel, czynił zaledwie obserwacje, o tyle teraz wżył się w świat przyrody całkowicie i obejmuje go szerokim rzutem oka. Każda roślinka, każdy owad, przybiera dlań postać osoby żyjącej, bliższej i dobrze mu znanej. Fabre prawdziwie, z oddaniem kocha ten swój świat i umie i w nas miłość do niego zaszczepić.

Jest to pierwszy uczony, który wprowadził metodę eksperymentalną do badań nad duszą zwierząt. W obserwację wkłada tyle trudu, tyle zapału, że najmniejsze objawy z ich życia nie są dlań obce, — to też z miłością starego przyjaciela odnosi się do wszystkich stworzeń i w ślicznych, a prostych słowach przedstawia nam ich porywy, miłość, macierzyństwo; ich trud, pracę i mozolną walkę o byt — zarówno jak ujemne strony, a więc brak solidarności u kraba, usuwanie starych i słabych u osy. A jak wszystko poprostu opisuje! Niema w tem śladu sztucznego artyzmu, frazesu, wszystko jest jasne, żywe, wypływa ze szczerzego zachwyty i przejęcia się całą duszą umiłowanym przedmiotem. Z wielką subtelnością maluje Fabre drobne rysy charakteru, usposobień, a opisy jego są tak bajecznie żywe, że widzimy dokładnie, a co więcej odczuwamy wraz z te-

mi maleństwami wszystkie ich radości i smutki. Opisy Fabre'a pouczają nas, ile materiału dostarczyć może poezji sucha nauka i że poezya, jak ogień ukryty, wszędzie, wkoło nas i w każdym najdrobniejszym tworze istnieje utajona, trzeba ją tylko umieć odczuwać.

Starość nie odejmuje Fabre'owi nic z zapału do pracy. Sława jego przeszła dawno granice kraju, mimo to interesuje tylko wybraną elitę uczonych i poetów (np. Rostand'a). Ludzie jakby zapomnieli, że w cichym zakątku mieszka starzec, jedna ze wspaniałych gwiazd współczesnej cywilizacji, genialny przyrodnik i jeden z najgłębiej czujących poetów. Nareszcie, późno wprawdzie, bo w 87 rocznicę urodzin, przypomniano sobie o Fabrze. Sorbona obdarza go złotym medalem i skromną pensją, zaś Akademia Sztokholmska medalem Lineusza.

Zrozumiano nakoniec, że jakkolwiek nie zgadza się on z głównymi doktrynami, które opanowały współczesne umysły, to jednak Fabre jest tak wielkim uczonym i poetą prawdziwym, że ignorować go dalej niepodobna.

I oto schyłek życia Fabre'a opromieniła aureola sławy. Jako ogólnie czytany i podziwiany, staje w rzędzie autorów popularnych. Spodziewać się należy, że dzieła jego zdobywać będą coraz większe zainteresowanie i poczytność nie tylko wśród uczonych, ale wogóle wśród wszystkich miłośników przyrody i zarazem zawartej w niej poezji.

II. Teatr.

Warszawa owładnięta prawem reakcyi pełną piersią „używa na Moskalach”. Pławi się poprostu w rozpamiętywaniu niedoli wczorajszej, z dreszczem nałogowca ogląda widowiska, odtworzące piekło dni minionych i z zadowoleniem chwyta szcze-

gół każdy mrocznej opowieści o kaźniach i prześladowaniu. Sceny warszawskie — a jest ich nawet jak na stolicę liczba dość poważna — prześcigają się w doborze sztuk jaknajbardziej sensacyjnych. Pijany żołdak „moskiewski“, czy dziki „kat oprawca“ i bezwina ofiara ich barbarzyństwa, szlachetny i wzniosły, wszechprzebaczący i poświęcenia pełen dla wszystkiego i dla wszystkich „wygnaniec z ziemi ojczystej“ — oto refren nieustanny onych widowisk patryotycznych, jakie się niepodzielnie rozsiadły na deskach teatrzyków warszawskich. Dziesiąte pawilony, Sybiry i tajgi północne, gwiazdy Syberyjskie, Kościuszki petersburskie i jak się tam te wszystkie razem utwory sceny popularnej zowią, rozbestwiają uczucia pierwotne tłumu, sycać je karmem niewyszukanym niezdrowej sensacji aktualnej. I gdybyż te wszystkie sztuki teatralne posiadały istotną wartość, gdyby cel miały nie tylko uczciwy, ale i rozumny, odegraćby mogły dużą nawet rolę w kierunku uświadomienia narodowego mas i potrafiłby je zbudzić do życia dla Ojczyzny. Poczęte z bezsilnego sentymentu ujarzmionego niewolnika, nie zaś ze źródeł życiodajnej mocy narodu — pieją swe pienia żałosne, pełne rezygnacji karygodnej i nie szacunek, lecz litość budzącej beziły. Jasnowłose dziewczę polskie o dwu, bławatkami przystrojonych, warkoczach, chyli swą główkę na piersi zboląlej starego szlachcica (w konfederatce, z pawiem piórkiem), z którego oczu przygasłych płynie łza. A ułan śpiewa pieśni polskie. Blichtr to sceniczny i teatralność, którą co prędzej wpleść należy. W życiu dzisiejszem, pełnem mozołu i pracy, gdzie dostojność cierpienia i siła odrodzeńcza narodu wyrazem być winny polskości — niema miejsca na malowanki. Zerwać należy z roztkliwieniem i rzewnością rodzimą, i wymieść je co prędzej po za dziesiątą granicę. Dopóki one panować bezkarnie w życiu naszym będą, nie pozbędziemy się nigdy tego fałszu patryotycznego, który żołnierza polskiego na trud bojowy i na znój w tekturę muzealną przystroił. I paradyje ułan-Belinowiec po ulicach Warszawy w czako ułańskim na dziw i na pośmiewisko ulicy. Tu nie wystarczy wzruszenie ramion i uśmiech politowania. Pastusze piosenki i maskarada nie przystoją dziś zwłaszcza, kiedy się walczy o byt narodu i o jego przyszłość.

Naród nic z tych scen przeszłości nie skorzysta, nie zaczerpnie z nich mocy wytrwania, ani też choćby krzepiącej nauki. Ze wstydem tylko i upokorzeniem przyjrzy się raz jeszcze własnemu pohańbieniu i przed własną się wzdrygnie niemocą. Usunąć mu tedy z przed oczu należy te litowania pełne obrazki, bo jeśli one mają dać wyraz przepaści, jaka nas dzieli od wczoraj, to i bez nich ta przepaść nigdy się nie wyrówna. Dość już w życiu mieliśmy tej zmory duszającej, aby ją jeszcze w scenicznych oglądać obrazach. Nie bądźmy podobni choremu, który się w rozdzieraniu własnych ran lubuje i przez to tylko powrót swój do zdrowia opóźnia.

Sezon krakowski dwumiesięczny, w którym wystawiano sztuki anti-rosyjskie dla przejeżdżających „królewików”, z chwilą upadku kordonu zawitał na stałe do Warszawy. Dla kas teatralnych nielada to zniwo! Sceny warszawskie opanowała konkurencya, licytując zachłanną ciekawość stolicy. Zarówno wartość sztuki, jak i sposób wystawienia utworów wartościowych, nie wchodzi w rachubę kierownictwa teatralnego. Byle puścić bombę i ściągnąć jaknajliczniejsze rzesze zgłodniałych sensacyi warszawiaków. A że się przytem samą sztukę byle jak wystawi — furda, Raclawice i tak uratują kasę, a dzielny Bartosz kosą napędzi tłumy, że teatr pięknie. I nieźle byłoby przypomnieć dyrektorowi pouczającą bajkę rosyjską o znamienym tytule: „Liaguszka i woł”, której zakończenie zapisujemy na tem miejscu ku pamięci, rozwadze i pouczeniu kogo należy, w brzmieniu oryginału: „S natugi łopnuła i akalięła”.

Ze wszystkich teatrów, uganiających się zawzięcie za modnym obecnie repertuarem, względnie jeszcze najtaktowniej postąpił Teatr Polski przez wystawienie — Mereżkowskiego.

Sztuka sama, obfitująca w niesłychane dla warszawiaka sensacje—jest kroniką dramatyczną w ośmiu obrazach, przerobioną z powieści historycznej przez samego zresztą autora. Ma tedy, jak każda taka transpozycja, wszystkie jej wady. Osoby główne dramatu, jako że zrodzone są w tonie powieściowym, nie mają na scenie dość silnego wyrazu charakterów, nie żyją. Indywidualizacja postaci historycznych startą jest w fabule romansopisarskiej, tem większe przeto daje pole do opisu aktorom, aby ją zdołali wydobyć i uplastyczyć. Epoka dziejów niezwykle ciekawa, choć mało u nas na ogół znana, postać cara, który w przeciętnym pojęciu Polaka żył w mętnych tylko zarysach, jako małoznaczące przejście dwu wielkich w dziejach naszych epok: carowej Katarzyny i Aleksandra — usprawiedliwiają zaciekawienie, jakie ostatnia premiera w szerokich kołach społeczeństwa wzbudziła. Z natury rzeczy stosunek widzów do sceny musiał być krytyczny. Mglistość sytuacji psychologicznych, ujawniająca się przedewszystkiem w rysunku postaci naczelnej, powieściowość charakterów działających, a nadewszystko dająca się wyluskać nić sympatii autora do przedstawianego środowiska, utrudniająca czystość rysunku sytuacyjnego, o wiele łatwiej osiągalnego z pewnego uczuciowego dystansu — krytycyzm ten potęgowały. Widz łatwo mógł się zdezorientować z kim właściwie współczuć mu każe autor? Czy ze spiskowcami, których raz, jako zbawców czterdziesto milionowego ludu rosyjskiego przedstawia, to znów ich niemiłosiernym biczem satyry chłoszcze w obrazie VII-ym, czy też z carem, napoły obłąkaną i nieszczęśliwą ofiarą spisku, z którego dzikich poryków rozbestwionego lwa dobywa w końcu litość budzące beczenie zarzynanego barana?

Gra aktorów, zarówno jak i wiele trudności nastęrczająca reżysery sztuki były na ogół bardzo poprawne. PP. Węgrzyn i Zelwerowicz święcili tryumf niezaprzeczony w granicach powyżej zaznaczonych nieporozumień aktorskich. Spazmatyczna rola Aleksandra w interpretacji p. Węgierki miała chwilami wyraz zdecydowanej histeryi. Walka, jaka się toczy w duszy cesarzewicza pomiędzy uczuciem synowskiem, a obowiązkiem władcy, wierzącym, iż naród swój uszczęśliwi, winna wywoływać wra-

zenie zmagania się tragicznego, nie zaś nieustannego spazmu. P. Węgierko uczynił z roli tej maryonkę rozplakaną, dobrowolnie rezygnując z pozorów hamletyzmu, w jakie był autor wyposażył tę postać. Jedna jeszcze nasuwa się nam wątpliwość — z dziedziny reżysery — czyżby rzeczywiście przyjęcia na dworze petersburskim odbywać się miały nie w salonach, a w westybulu i na schodach do wnętrza pałacu wiodących? Wątpliwość ta o tyle jest na miejscu, iż, na ogół biorąc, wystawa (obraz I-szy zwłaszcza!) uchodzić może za przykład staranności chwalebnej i sumiennosci, czyniącej zadość wybrednym wymaganiom.

Wł. Kłyszewski.

II. Organizacja robót publicznych i kwestya robotnicza w prasie warszawskiej.

Stanowisko *Dziennika Polskiego* w stosunku do wewnętrznych formacji ruchu robotniczego nie jest dla nas jeszcze jasno określone. Zdając sobie sprawę z doniosłego znaczenia klasy robotniczej dla całokształtu życia narodowego i przeciwdziałając „zwynarodowieniu” jej, *Dz. Pol.* w artykule p. L. Chrzanowskiego ujmuje początkowo bardzo trafnie „najbliższe zadania klasy robotniczej” (d. 24-go sierpnia):

„W momencie, kiedy zarówno władze ewakuacyjne, jak i okupacyjne o losie rzesz pracowniczych nie myślały i myśleć nie będą, jedynie do całego społeczeństwa polskiego apelować i jedynie z niem całym łącznie nad swoją dolą i niedolą robotnik polski radzić może i musi.

Widzimy wyraźnie, że dwa dominujące hasła z 1905 roku, głoszące o „wschodnich rynkach zbytu” i o tem, że „tam ojczyzna, gdzie chleb”, dalekie były od realnej prawdy życia. Jasnym jest dziś nawet dla słabo oryentujących się, że zarówno „dawany” chleb ze

wschodu, jak i obiecywany z zachodu, tylko demoralizację wynarodowienia w ostatecznym rezultacie przynieśćby musiał.

Robotnicy, jako dobrzy obywatele kraju, muszą sobie uświadomić, że tworząc i odbudowując zburzone przez obcy rząd organizacje, kładą podwaliny pod ogólny gmach narodowy, muszą więc te podwaliny zakładać być świadomie, jako jedna z części ogólnej narodowej budowli".

Wyglądałoby to na chęć popierania *polskich* związków zawodowych. Lecz ta wyłączność już znika np. podczas referowania konieczności pomocy głodowej — argumenty przytaczane przez rozmówcę („Organizatorzy i agitatorzy” przez p. Ad. W. — *Dz. Pol.* z d. 15-go września), a w naszym pojęciu podzielane przez dziennik, wspominają już tylko „o związkach zawodowych”, nie kładąc nacisku na ich charakter narodowy.

Ten sam brak widzimy i w „zapowiedzi przemian” przez p. Mieczysława Baumgarta w *Dz. Polskim* (z 30-go września i 1-go października) zreferowanej. Przemiany mają dotyczyć ruchu robotniczego, który obecnie, bez przeciwdziałania ze strony rządu rosyjskiego, skoncentruje się w *jednej* partii robotniczej. O tem, jak ta partya i jej działalność wyglądać mają w stosunku do sprawy polskiej, dosyć niejasne mamy pojęcie z artykułu, zakończonego czysto „klasowym” tematem:

„Ufać należy, że to dążenie do stworzenia organizacji robotniczej jednolitej i ogarniającej jaknajliczniejsze rzesze (która urzeczywistnić się musi przede wszystkim w dziedzinie gospodarczej, gdzie zgodność interesów robotniczych jest najwyraźniejsza) nie ograniczy się na tych przejawach. Siegnąć ono musi poza Polską Partję Socjalistyczną, poza Polskie Związki Zawodowe, aby „i z innych organizacji robotniczych wydobyć wszystkie te jednostki, które nie w krzykactwie „rewolucyjnym” i bezmyślnem warcholstwie widzą swe zadanie, ale w twórczej pracy dla dobra ogółu robotniczego, dla tych wszystkich celów, które muszą być wspólne wszystkim robotnikom polskim”.

Jako ciekawy dokument chwili przytaczamy za *Gazetę Poranną* z d. 4-go października cyrkularz, rozesłany przez Prezydium Policji w Warszawie w sprawie pośrednictwa w wysyłaniu robotników do Niemiec:

„Wśród ludności robotniczej m. Warszawy i okolic powstały mylne zapatrywania na stosunki prawne robotników polskich, którzy zostali zaangażowani do Niemiec. Podobno rozpowszechniana jest nawet niedorzeczna pogłoska, że robotnicy owi włączeni zostają do armii niemieckiej. Kto wymyślił taką, naturalnie zupełnie kłamliwą, pogłoskę i ją rozpowszechnia, postępuje nisumiennie względem tutejszych pozostających bez pracy robotników. Leży bowiem w interesie robotników, którzy z powodu braku roboty i płacy cierpią nędzę wraz z rodzinami swojemi, ażeby takowi w jaknajszerszych rozmiarach korzystali z nadającej się dogodnej sposobności znalezienia płatnego zarobku w Niemczech. W danym wypadku interes pracodawców niemieckich schodzi się z interesami warszawskich robotników. Dlatego też jest zupełnie zrozumiałem, że robotnicy ci doznają od władz niemieckich różnych udogodnień, w rozmiarach przewyższających takowe w czasie pokoju.

Sposób wypłacania zarobków zostaje również często źle rozumiany. Nieprawdziwą jest pogłoska, iż wypłata zostaje uskuteczniata tylko w naturze, przez dostarczenie mieszkania, utrzymania i odzieży i że reszta zarobku zostaje wniesiona do książek oszczędnościowych, tak, że ojcowie nie mają możności opiekować się pozostałą w domu rodziną. Zapłata uskutecznia się gotówką; mieszkanie i wyżywienie pracownicy po większej części dostają w domach fabrycznych. Zaprowadzono jedynie ograniczenia dla pracodawców względem robocizny, że zobowiązano ich do odsyłania pewnej części zarobków do Cesarsko-Niemieckiego Prezydium Policji w Warszawie, stosownie do ilości głów w rodzinie danego robotnika. Cesarsko-Niemieckie Prezydium Policji następnie za pośrednictwem Komitetu Obywatelskiego wypłaca te pieniądze rodzinie. Przez wniesienie więc powyższego postanowienia do treści kontraktów zatroszczono się właśnie jaknajlepiej o pozostałych w kraju rodzinach. Przedstawicielom tutejszych biur pośrednictwa pracy zostały udzielone wszystkie odnośne wyjaśnienia.

W końcu należy również nazwać mylnem zapatrywanie, iż w samej Warszawie jest w szerszym nawet zakresie dosyć roboty, lub, że jej wkrótce będzie poddostatkiem. Nie można wcale liczyć na to, ażeby tutejsze fabryki wkrótce miały być uruchomione w zasługujących na uwagę rozmiarach. Powody tego są znane. Przez stworzenie dla zaspokojenia nędzy naglącej może pracy, robotę może znaleźć tylko

nieznaczna część robotników, co również tutejsi przedstawiciele polskich biur pośrednictwa pracy. Przeciwnie, jak wiemy z doświadczenia, z nastaniem pory zimowej wzmoże się jeszcze napływ bezrobotnych do Warszawy.

W interesie robotników leży zatem, ażeby wszyscy ci, którzy wraz z żoną i dziećmi chcą uniknąć zimy pełnej niedostatków i nędzy, niezwłocznie postarali się o pracę. Centralna organizacja robotnicza przy Cesarsko-Niemieckiem Prezydyum Policji, Krucza 31, rozporządza wielką podażą pracy dla robotników wszelkiego rodzaju od niemieckich pracodawców".

Kłeska ekonomiczna, jaka nawiedziła kraj nasz w chwili obecnej, niezaprzeczenie najbardziej daje się we znaki sferom robotniczym. *Nasza Trybuna*, mianująca się organem głównym interesów tej właśnie klasy, winę i odpowiedzialność za drożyznę artykułów najpierwszej potrzeby i orgię spekulacyjną kładzie na karb Komitetu Obywatelskiego, który jakoby w działaniach swych kieruje się polityką i uprzedzeniami klasowemi.

„A więc przypatrując się naszym stosunkom społecznym, spostrzegamy odrazu w czem różnią się objawy przeżywanego u nas kryzysu drożyznianego od podobnej sytuacji w wojujących krajach zachodu. Spostrzegamy, że choć drożyzna i spekulacja grasują wszędzie, gdzie u steru władzy stoją klasy posiadające, to niejednakowe są ich stopnie, jak niejednakowem jest przeciwdziałanie klasy robotniczej i jego skutki. Widzimy, że tam klasa robotnicza jest zorganizowana, posiada do swego rozporządzenia wszystkie środki oddziaływania na klasy rządzące i posiadające, zapobieganie i przeciwdziałanie drożyznie przybiera inną postać; nie wychodząc z granic półśrodków, czasem zresztą dość energicznych, hamuje zapędy kapitału i ogranicza wyzysk.

Zupełnie inaczej dzieje się u nas. W kraju, który słusznie może być nazwany rajem kapitalistów, a piekłem robotników, wszystkie przywileje kapitału zostały wyzyskane od chwili katastrofy wojennej. Burżuazya zorganizowana klasowo w dwóch instytucjach, reprezentujących kapitał rolny i przemysłowy, występuje jawnie na widownię życia społeczno-politycznego i z udziałem a poparciem drobnomieszczactwa ujmuje cugle gospodarki krajowej. Komitety

krajowe i miejskie ogarniają swą siecią wszystkie zakątki życia i stają się narzędziem przewodzenia burżuazji, jej polityki społecznej i ekonomicznej".

Nieufność tedy do obywatelskiej działalności Komitetu budzi w *Naszej Trybunie* podejrzenia odnośnie do wszystkich zarządzeń instytucji obywatelskiej naczelnej. — Stojąc na stanowisku klasowo-politycznym, dąży *Nasza Trybuna* do wywalczenia reprezentacji świata robotniczego, aby zwalczyć i okiełznać poczynania burżuazji, działającej świadomie, zdaniem cytowanego organu, ze szkodą i krzywdą rzesz robotniczych.

Chodzi więc *Naszej Trybunie* w pierwszym rzędzie o utrzymanie w czystości niepokalanej zasad i teorii międzynarodówki. Żegna się krzyżem świętym na wspomnienie odstępstwa licznych wyznawców idei socjalistycznych na Zachodzie, chwając sobie poczciwe polskie „po staremu”.

„Na terenie polskiego — pisze N. T. w Nr. z dn. 23/X — życia sytuacja przedstawia się o wiele lepiej, niż zagranicą. Masy robotnicze wyraźnie przeciwstawiły się naporowi socjal-nacyonalizmu i orientacyom burżuazyjnym. Historia ruchu robotniczego w Warszawie podczas wojny wykazuje, że polski socjalizm pozostał wiernym swoim starym tradycjom”.

Zachłanność programowa międzynarodówki nie omija nawet szkolnictwa. I w tej dziedzinie prac i działalności Komitetu dopatruje się *Nasza Trybuna* w N-rze cytowanym powyżej perfidyjnej polityki klas posiadających, która ma na celu utrzymanie analfabetyzmu w kraju.

„Wzajemne stosunki klas w Polsce, których interesy uplastyczniły się znakomicie we wszelkich komitetach obywatelskich z jednej strony, w tendencji do odbudowania robotniczych związków i organizacji — z drugiej, nie wymagają wielu wyjaśnień. Nawet taka, napozór dalej od polityki stojąca, kwestya szkolna, stała się probierzem wyklarowania reakcyjnej istoty polskiej burżuazji. Prędko okazało się, że z gromkich słów o powszechnem nauczaniu nic nie będzie, bo, pocóż wszyscy robotnicy mają umieć czytać? To nie jest wygodne!”

Przy K. O. m. Warszawy powstała komisya, mająca zorganizować inspekcję fabryczną. Postanowiono powołać do niej 3-ch delegatów robotniczych, w tym celu 18/9 odbyło się zebranie przedstawicieli związków zawodowych, o przebiegu którego cytujemy za *Gońcem*:

„P. L. Krzywicki odczytał projekt org. sekcji inspektoryatu fabr., opracowany przez dotychczasową komisję organizacyjną, zaznaczając, że wybór dzisiejszy nie jest wyborem do inspektoryatu, a jedynie do komisji organizacyjnej, która dotąd pracowała bez udziału przedstawicieli robotników. Komisya w tym składzie, w jakim obecnie pracuje, zdecydowała dać jeden jeszcze 4-ty mandat robotniczy delegatowi Stow. Rob. Chrześcijańskich. Stowarzyszenie to już wybrało swego delegata.

Sprawa ta wywołała burzę protestów ze strony przedstawicieli związków zawodowych t. zw. klasowych, którzy, oburzając się na K. O., wypowiedzieli się, że fakt przyznania robotnikom org. chrześcijańskiego osobnego delegata, jest „kopnięciem” związków zawodowych klasowych, że K. O. chce rozbijać solidarność klasową robotniczą, faworyzując jedno stowarzyszenie chrześcijańskie, przeciw 29 związkom, których przedstawiciele znajdują się na sali, dając delegata organizacji robotn. chrześcijan, która jest „wrogiem klasie robotniczej”.

Postawiono wniosek, ażeby nie przystępować do wyborów, wobec tej nowej sytuacji — i zarządzono przerwę, żeby się naradzić nad tą sprawą.

Po przerwie zdania obecnych podzieliły się za wyborami i przeciw. Dzięki głosowaniu Polskich Związków Zawodowych za wyborami, uchwalono wybierać.

Przystąpiono do odczytania instrukcji dla przedstawicieli robotniczych, mających być wybranymi na tem zebraniu.

Instrukcja ta, utrzymana w tonie ubliżającym dla K. O., potępiająca w zasadzie samą inspekcję pracy, jako „zabawkę, rzuconą robotnikom przez burżuazję, ażeby odciągnąć proletaryat od walki klasowej” — wywołała protest ze strony przedstawicieli Polskich Zw. Zaw., którzy, przyznając słuszność pewnym postulatom tej instrukcji, za całością jednak, utrzymaną w tej formie, głosować nie chcieli.

Instrukcja została przyjęta większością — przeciw Polskim Zw. Zaw. i przeciw kilku, którzy wstrzymali się od głosowania.

Na porządek dzienny weszła sprawa wyboru trzech kandydatów. Po ogłoszeniu przez prezydium trzech kandydatów, zgłoszono w imie-

niu Polskich Zw. Zawodowych, wniosek przyznania im przez zebranie, bez względu na mogący mieć wynik głosowania, 1 delegata do sekcji organizacyjnej. Referent Polsk. Zw. Zaw. motywował to żądanie tem, że ruch zawodowy robotniczy polski z powodu trudnych warunków nie rozwijał się normalnie, że cały szereg Zw. Zaw. zmuszony był do zaprzestania swych czynności, że Zw. Zaw. w dzisiejszych nawet warunkach nie mogą rościć pretensji do reprezentowania ogółu robotniczego, gdyż są nieliczne. Podkreślał, że w ruchu zawodowym robotniczym są pewne różnice ideowe, różnice taktyczne, co się ujawnia w fakcie istnienia w poszczególnych fachach kilku organizacji robotniczych zawodowych.

Polskie Zw. Zaw. uważają za ideał jednolite, bezpartyjne, bez różnicy wyznań związki zawodowe.

Na dziś jednak, gdy niema tych idealnych organizacji robotniczych, za wyjście najbardziej sprawiedliwe, najbardziej odpowiadające różnicom, jakie istnieją pomiędzy Zw. Zaw., dla wykazania, że jednak jest możliwa jedność robotnicza i wspólna praca w inspekcjach ogólnorobotniczych, jak inspektorat fabryczny, który powinien być rzecznikiem szerokiego ogółu robotniczego, należy w wyborze delegatów uwzględnić przedstawicielstwo grup robotniczych, w tym wypadku przedstawiciela Polskich Zw. Zawodowych.

Projekt ten wywołał nową burzę.

Przedstawiciele Zw. Zaw., t. j. klasowych, w przemówieniu pewnej towarzyszki, która widocznie w imię zgody i jedności robotniczej, starała się odsądzić od czci i wiary Polskie Zw. Zaw., za ich stanowisko w r. 1905! (Związki Polskie powstały dopiero w 1906 r.).

Według tej „towarzyszki” Związki Polskie, jako nie „klasowe”, nie mogą mieć swoich przedstawicieli w inspekcji fabrycznej i proponowała, ażeby zebrani przedstawiciele Zw. Zaw. klasowych, przeszli do porządku dziennego nad wnioskiem Polsk. Zw. Zawod.

Zebranie przegłosowało wniosek owej towarzyszki.

Wobec takiej sytuacji, przedstawiciele Polskich Zw. Zaw. w liczbie 12-tu osób, opuścili zebranie, odczytawszy rezolucję, w której podkreślono, że zebrani przedstawiciele Zw. Zaw. t. zw. klasowych ignorują ogół robotniczy, stojący poza ich organizacjami, że w tych warunkach wybrani przedstawiciele robotniczy, nie mogą być uznani za rzeczników całego ogółu robotniczego, że Zw. Zaw., tak zw. klasowe (czytaj esdeckie i bundowskie), nadużyły swej przewagi liczebnej (przedstawicieli, ale nie ogółu zorganizowanego) wobec reprezentantów i słusznych żądań Polskich Zw. Zawodowych.

Przedstawiciele Polsk. Zw. Zaw. oświadczyli, że dążyć będą do unieważnienia tych wyborów, odwołując się do ogółu robotniczego w myśl postulatów komisji petycyjnej 9-ciu.

Zw. Zaw. t. zw. klasowe przystąpiły do wyboru 3-ch delegatów i wybrano tow. Franc. Pesztę, Karola Wójcika i Dawida Meyera.

Komisja organizacyjna inspektoriatu fabrycznego nareszcie została uzupełniona przez przedstawicieli robotników.

Jaka to będzie praca, przyszłość pokaże.

Wybrani delegaci wchodzą do sekcji z wyraźną instrukcją przyjętą na zebraniu robotniczym, przeniesienia na teren sekcji swych „obywatelskich” postulatów, jakie były ogłoszone w odezwie, wzywającej do demonstracji przeciw K. O., na plac Teatralny, podpisanej przez „polskie” partie robotnicze: Socyaldemokrację Król. Polsk. i Litwy, Bund i t. zw. Polską Partię Socyjalistyczną (nie uznającą niepodległości Polski i uzurpującą sobie nazwę P. P. S.). Partie te, ignorując wszystko, co się poza nimi w ruchu robotniczym polskim dzieje, ignorując poważne instytucje robotnicze Polsk. Zw. Zaw., przez wytworzenie fikcji Zw. Zaw., o jakich ogół robotniczy nigdy nie słyszał, uzyskali na zebraniu robotniczym większość. Socyaldemokratyczne i bundowskie organizacje z całą bezwzględnością narzucają się robotnikowi polskiemu dziś znowu, tak, jak się narzucały w 1905 r.; 10 lat doświadczenia nie nauczyły tych panów, że robotnik polski nie ma nic wspólnego z „Socyaldemokratyczną partią Rosyi”, jaką jest nasza socyaldemokracja, a tembardziej z „Polską partią” — Bundem”.

Mała ilość delegatów robotniczych do komisji inspekcji fabrycznej wywołała żywe niezadowolenie w kołach zainteresowanych; przed ewentualnym zalewem ze strony burżuazji bierze je w opiekę *Przegląd Poranny*:

„Okolicznością niepomyslną jest nadmiernie mały udział liczebny przedstawicieli interesów robotniczych w komisji, mającej wypracować projekt inspekcji; 3-ch przedstawicieli robotników równoważyć będą głosy również 3-ch przedstawicieli fabrykantów, poza tem zaś znaczna liczba głosów przedstawicieli różnych urzędów miejskich, kupców, rzemieślników — skłaniać się będzie raczej na stronę fabrykantów, niż robotników.

Dają się ze środowiska robotników słyszeć głosy, że sprawa zorganizowania inspekcji fabrycznej powierzona być winna w całości organizacyom robotniczym, jako mająca na celu przedewszystkiem ochronę pracy, jednakże nawet zwolennicy zasady przeciwnej przyznać muszą, że przyznane robotnikom przedstawicielstwo w komisji jest zbyt małe.

Jeżeli więc pod tym względem Komitet Obywatelski m. Warszawy poszedł zbyt daleko w swej trosce o interesy... fabrykantów, —

to za to z uznaniem podnieść należy projekt rozciągnięcia ochrony pracy na rzemiosło i handel”.

Opinię powyższą podziela też *Nasza Trybuna*, omawiając obszernie (Nr. z 30/10) sprawę inspekcji, —

„jeśli ma to być instytucja jedynie dobro robotników mająca na celu, ich interesom poświęcona, ich praw broniąca, ich życie i zdrowie ochraniająca — to jest rzeczą bezsporną, że oni, robotnicy, pierwszy głos zabrać tu powinni”.

Ze sprawozdania na posiedzeniu 3-go października, widzimy, że obecna praca inspekcji polega głównie na likwidowaniu spraw, pozostałych jeszcze z czasów urzędowania rosyjskiego. Na zebraniu tem postanowiono urządzić specjalne wykłady dla kandydatów na przyszłych inspektorów fabrycznych. *Dziennik Polski* w notatce „Wybór inspektorów pracy” (10/11) robi słuszną zupełnie uwagę, że społeczeństwo informowane jest o postanowieniach komisji po zapadłych uchwałach, że przeto odsunięte jest w zupełności od wpływu na bieg spraw, które je żywo zajmują.

Polskie związki zawodowe na konferencji 2-go września powzięły szereg uchwał, z których wyjątki podajemy za *Gońcem Porannym* z 5/9:

„Uchwała II. Zważywszy, w jak trudnych warunkach Komitet Obywatelski prace swoje, w kierunku zmniejszenia niedoli całego narodu prowadzi, P. Z. Z. pozostając z uznaniem dla dotychczasowych prac K. O., pozostawiają sobie prawo krytyki poszczególnych organów (sekcji) K. O., które niejednokrotnie nie stały na wysokości instytucji obywatelskich.

Uchwała III. Dla nadania powagi i zaufania K. O. w masach ludowych, P. Z. Z. uważają za nieodzowne przedstawicielstwo robotników w K. O. i sekcjach tegoż, mających styczność z organizowaniem i regulowaniem życia robotniczego”.

Komitet Obywatelski, czyniąc zadość żądaniom robotników, zaprosił z pośród nich trzynastu, którym oświadczone, iż

„Komitet Obywatelski postanowił zaprosić przedstawicieli trzech zasadniczych odłamów warstw robotniczych i zażądać dostarczenia w ciągu tygodnia listy przedstawicieli: po jednym od każdego odłamu do komitetu i po dziewięciu od każdego odłamu do organizacji komitetu.

Na trzy odłamy Komitet Obywatelski podzielił warstwę robotniczą, nie według przekonań politycznych, ale stosownie do tego, jakie stanowisko różne grupy robotnicze zajmują w stosunku do Komitetu. Do pierwszego odłamu należą związki zawodowe i kuchnie robotnicze, zwalczające dotychczas Komitet; do drugiego należą „petycyoniści” i polskie związki zawodowe, ujawniające chęć współpracy z Komitetem; do trzeciego wreszcie odłamu należą chrześcijańscy robotnicy i czeladź cechowa, nie ujawniająca dotychczas specjalnych życzeń pod adresem Komitetu”.

Gotowość współpracy z Komitetem ujawnili też rzemieślnicy, uchwalając odnośną rezolucję na posiedzeniu, odbytem w dn. 21 października.

„1) Świadomi ogromu tragedji dziejowej, jaką naród polski zmuszony jest w dobie bieżącej przeżywać, my rzemieślnicy, jako część narodu, dotknięci bodaj najciężej wypadkami wojny, cierpimy z narodem w nadziei, że i nam w rezultacie zabłyśnie promień lepszego jutra.

2) Dla tego również z zadowoleniem witamy przedstawicielstwo polskich związków zawodowych, komisji dziewięciu i związków robotniczych chrześcijańskich, jako grup robotniczych, wiedząc, że i one wnoszą z sobą do Komitetu Obywatelskiego inicjatywę i zdolność do twórczej, zbożnej i obywatelskiej pracy, dla dobra warstwy robotniczej i narodu całego.

3) W tym celu przystępujemy do współdziałania przez swych delegatów w pracach Komitetu Obywatelskiego, by w granicach możliwości w największym stopniu łagodzić wogóle rozpaczliwe położenie społeczeństwa, a w szczególności warstwy rzemieślniczej”.

Pragnąc jednakże zwrócić uwagę K. O. na opłakany stan chylących się do upadku rzemiosł, sfery rzemieślnicze naszego miasta wystosowały na ręce Komitetu specjalny memoriał, streszczając swe wywody w ustępie poniższym:

„Ośmielamy się prosić Szanowne Prezydium o zaproszenie do współdziałania w pracach obywatelskich, przedstawicieli rzemiosł, do;

ogólnej rady miasta, komisji oświecenia, inspekcji fabrycznej i komisji rozdzielczej, albowiem brak łączności między zarządem miasta, a grupą rzemiosł, wytwarza obojętność dla spraw ogólnonarodowych, gdyż rzemieślnik, któremu ujęto troskę o dobro kraju, przestaje być jego obywatelem, w znaczeniu takim, jak to jest na Zachodzie".

Istotną zawieruchę spowodowały tak zw. kuchnie robotnicze, prowadzone przez Robotniczy Komitet Gospodarczy i subwencyonowane przez K. O. Organizacje te, zupełnie zresztą samodzielne, któremi kieruje odłamek socjal-demokratyczny robotników, wywołują ciągłe polemiki między *Gazetą Poranną*, a *Przełgądem* i są powodem stałych nieporozumień pomiędzy Robotniczym Kom. Gosp. a K. O.

Według *Gazety Porannej* (artykuł p. t. „Stary kawał” 19/10):

„Robotniczy Komitet Gospodarczy jest właśnie nową firmą, firmy dawno zbankrutowanej, rosyjskiej partii socjal-demokratycznej, operującej na gruncie naszym jako partya s.-d. Królestwa Polskiego i Litwy. Prócz tego Rob. Kom. Gospodarczy przytuła pod swą firmą niedobitków lub rozbitków z różnych partii socjalistycznych, którzy są bez wpływu i znaczenia w tym Komitecie”.

A niżej pisze o samym charakterze „kuchni”:

„Partya widzi w kuchniach jedynie teren dla agitacji i szerzenia swych wpływów, a nie instytucję pomocy głodnym. Przecież kuchnie są w rzeczywistości klubami partyjnemi, w których odbywają się zebrania związków partyjnych (patrz np. *Przełgąd Wieczorny* z d. 4-go września r. b. — uchwała związków metalowców i skórzanego i t. d. i t. d.).

Skromne nazwy „kuchni” czy Robotniczego Kom. Gospodarczego ukrywają zupełnie co innego. Uciekanie się do takich nazw dowodzi niezbitcie, iż do starych firm, skompromitowanych ostatecznie, robotnik stracił zaufanie, więc wysunięto mu nowe”.

Przełgąd w Nr. z 22-go października, odpowiadając w artykule: „Oszczyerstwem i potwarzą”, na zarzuty *Gazety Porannej*, pisze:

„Kuchnie Robotnicze, które borykając się z trudnościami materalnymi i szykanami policyjnymi przetrwały cały rok wojny, są solą w oku pewnej kategorii „działaczy” społecznych, nie mogących się pogodzić z tem, iż istnieją organizacje robotnicze, rządzące się samodzielnie.

Tłumiona niechęć wystąpiła jawnie w artykułach pewnej gazетки, która w dążeniu do zwalczania samorządnych kuchen robotniczych przytoczyła „fakty”, — mające „dowieść”, iż kuchnie robotnicze są ogniskami „propagandy socjalistycznej”.

Nasza Trybuna, dając historię powstania i rozwoju „kuchni”, zamieszcza, między innymi, artykuł: „Położenie klasy robotniczej w Warszawie” (23-go października):

„Z pośród bardzo wielu form pomocy, jakie należało zastosować wobec wzrastającego bezrobocia i nędzy, a które, jak zobaczymy dalej, stopniowo i pod presją samych robotników zaczynają wchodzić w życie, pierwszą były kuchnie robotnicze. Powstałe z inicjatywy uświadomionych elementów robotniczych, kuchnie te nie znalazły żadnego poparcia K. O. i musiały czerpać środki od rosyjskich instytucji społecznych. Kuchniom tym, których kierownictwo powierzone zostało utworzonemu w tym celu Robotniczemu Komitetowi Gospodarczemu, przeciwstawił K. O. swoje tanie kuchnie, kierowane przez specjalną Sekcję Tanich Kuchni. Mimo, że kuchnie robotnicze zyskały ogromną popularność w masach robotniczych, że funkcjonowały nadzwyczaj sprawnie, podając systematycznie, w przeciwieństwie do taktyki K. O., do wiadomości publicznej dokładne sprawozdania, nie zadowolniły jednak K. O. Dla K. O. fakt, że kuchnie robotnicze doskonale wypełniały swoje zadania, niosąc pomoc głodnym masom, miał znaczenie drugorzędne. Za rzecz o wiele ważniejszą uważał K. O. to, że kuchnie te rządziły się samodzielnie, kierowane były przez Robotniczy Komitet Gospodarczy i skupiały w przeważnej części najbardziej świadome elementy robotników. I dlatego, kiedy po odcięciu kraju od Rosji, kuchnie robotnicze pozbawione zostały otrzymywanej dotąd pomocy i kiedy wobec potęgającej się wśród proletariatu nędzy, Rob. K. G. widział się zmuszonym do rozszerzenia swej działalności przez otworzenie szeregu nowych kuchni, K. O. uwarunkował pomoc swoją szeregiem żądań, zmierzających do pozbawienia kuchni ich samorządności i do oddania ich pod bezpośrednie kierownictwo K. O.”

A na końcu znamienna uwaga pod adresem K. O.:

„W historii przeżywanej obecnie klęski wiele znaczącym i wiele mówiącym pozostanie fakt, że, w najkrytyczniejszym momencie, K. O. dla względów swojej polityki klasowej odmówił najbardziej powołanemu do niesienia pomocy proletaryatowi Rob. Kom. Gosp. środków do rozszerzenia działalności kuchni robotniczych i otwarcia piekarni robotniczej”.

KSIĄŻKI NADEŚLANE.

Arnold Bennett. „Żywcem pogrzebany”. Powieść. Słowo wstępne i przekład K. Łaganowskiego. Warszawa, 1915. Ferdynand Hoesick.

Władysław Jagniętkowski. „Walka z kobietą”. Powieść. Warszawa, 1914. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Alfred Konar. „Jesień”. Powieść. Wydanie drugie. Warszawa, 1915. Nakład Kasy Przeworności i Pomocy Warszawskich Pomocników Księgarskich.

Marya Rodziewiczówna. „Barbara Tryźnianka”. Powieść. Warszawa, 1914. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Marya Rodziewiczówna. „Czarny chleb”. Warszawa, 1914. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Zygmunt Sarnecki. „Czwarta dusza”. Warszawa, 1914. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Stanisław Przybyszewski. „Adam Drzazga” (Druga i ostatnia część „Dzieci Nędzy”). Powieść. Warszawa, 1914. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Stanisław Wołoszyński. „Krwawe dziewosłęby”. Powieść z XVII w. Warszawa, 1915. Kraków: G. Gebethner i S-ka.

Dr. Alfred Lauterbach. „Potrzeby estetyczne Warszawy”. Warszawa, 1915.

Stefania Sempołowska. „Reforma szkolna 1862 roku. Organizacja Szkolnictwa Elementarnego“. Tow. Wydawnicze w Warszawie.

„Pisma filozoficzne Adama Mahrburga“. Tom I i II. Warszawa, 1914. Ferdynand Hoesick.

„Wybór pism Adama Mickiewicza“. Wydał i objaśnił Tadeusz Pini. Kraków, 1915. Nakład księgarni Gebethnera i Wolffa. Wybory z dzieł najwybitniejszych pisarzy polskich Nr. 1.

„Wybór pism Zygmunta Krasińskiego“. Wydał i objaśnił Tadeusz Pini. Kraków, 1915. Nakład księgarni Gebethnera i Wolffa.

„Wybór pism Juliusza Słowackiego“. Wydał i objaśnił Tadeusz Pini. Kraków, 1915. Nakład księgarni Gebethnera i Wolffa.



SPIS RZECZY,

SZKOLNICTWO — <i>Dr. Władysław Kłyszewski.</i>	5
STOSUNEK WŁOŚCIAN POLSKICH DO WOJEN, TOCZONYCH W OSTATNICH WIEKACH ISTNIENIA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ — <i>Ignacy Baranowski.</i>	10
STAN ROLNICTWA POLSKIEGO W DOBIE POWOJENNEJ, A PROGRAM EKONOMICZNY LUBECKIEGO (Dokończenie) — <i>Dr. Edward Strasburger.</i>	19
STANISŁAW WITKIEWICZ — <i>Adam Grzymała-Siedlecki.</i>	33
RUDYARD KIPLING (Dokończenie) — <i>August Popławski.</i>	54
POEZYJE — <i>Bogusław Butrymowicz.</i>	60
ŻYWI (Nowela) — <i>Zofia Rygier-Nałkowska.</i>	64
KRONIKA: I. J. H. Fabre (1823—1915). II. Teatr — <i>Wł. Kłyszewski.</i> III. Organizacja robót publicznych i kwestya robotnicza w prasie warszawskiej (Dokończenie).	70
Książki nadesłane.	91

Inicjały i okładka ZYGMUNTA KAMIŃSKIEGO.

Kierownik naczelny i wydawca: Dr. AUGUST POPŁAWSKI.

Redaktor odpowiedzialny i kierownik literacki: =====

===== Dr. WŁADYSŁAW KŁYSZEWSKI.

Kierownik naczelny/wydawca: Dr. AUGUST POPŁAWSKI.
Redaktor odpowiedzialny i kierownik druku: _____
Dr. WŁADYSŁAW KŁYSZEWSKI. _____

